Nr. 29. 30 h = 25 fen.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Kraków, dnia 18 grudnia 1909.

Wychodzi w każdą sobotę.

Z treści: **Tragedya zazdrości.**



Szerlok Holmes i towarzysz jego patrzyli z uwagą za przesuwającemi się postaciami.

Przedruk wzbroniony.
Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką pocztową kor. 3·60, mk. 3·60, rs. 2·—.

Szerlok Holmes

Tygodnik kryminalny.
Redakcya i Administracya: ul. Zielona 7.

Prawo przekładu na inne języki zastrzeżone.
Cena numeru pojedynczego 30 hal., 25 fen., 15 kop.
Wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 29. Kraków, dnia 18 grudnia 1909. Nr. 29.

ZE ŚWIATA.

Parasol jako narzędzie włamania.

W Wiedniu u jubilera Sidona na Margaretenstrasse wykonał pewien międzynarodowy złodziej śmiałego nad wyraz rabunku, złupiwszy na 60.000 koron kosztowności.

Że złodziej jest zawodowym rzezimieszkiem, dowodzi tego sposób, w jaki „dzieła“ swego dokonał, jak niemniej nowy kawał, którym posłużył się w ucieczce.

Na I. piętrze mieszka nad sklepem jubilera pewna samotna kobieta, która sublokatorom odnajmuje pokoje. Pokój położony tuż nad sklepem, był chwilowo wolny.

Jako kandydat na lokatora zgłosił się on do owej pani, obejrzał sobie mieszkanie, wytargował i jako zadatek dał 20 koron, które wyciągnął z eleganckiego etui. Widocznem było, że ma jeszcze więcej pieniędzy. Obcy mówił łamanym językiem. Nie zadługo wrócił z posłańcem, który przyniósł mu do pokoju małą walizkę. W krótce usłyszano z pokoju tony fletu. Gospodyni zachwyconej jego grą oświadczył, że jest artystą i przedstawił się jej jako Artur Berthold. Wieczorem znowu było flet słychać, a potem zdawało się, że artysta poszedł spać.

W niedzielę popołudniu został nowy lokator w domu. Ostatecznie o godzinie trzeciej wyszedł i nie wrócił więcej.

Gdy i następnych dni się nie pokazał, zajrzano do jego mieszkania, w którem na pierwszy rzut oka było wszystko w porządku, ponieważ włamywacz zakrył dywanem dziurę wybitą w podłodze. Ale jubiler Sidon zauważył natychmiast, po otwarciu sklepu, że w suficie sklepu jest dziura, z której zwieszała się na dół lina. W sklepie było wszystko poprzewracane, jak to mówią „do góry nogami“. Wszystkie kasetki i pudełka rozbite i wypróżnione leżały porozrzucane na podłodze. Tuż pod otworem w suficie leżał otwarty parasol, który zbrodniarz podstawił, by spadające rumowisko w nim się zatrzymało.

Zbójecki napad.

Rzecz dzieje się we Wiedniu. Niejaki Karol Brandlmajer, agent handlowy, wracał sobie najspokojniej około godziny 10 wieczorem na dzielnicę Mariahilf, gdzie mieszkał. Na ulicach było jeszcze stosunkowo dość ludno. W ręku trzymał tekę z papierami, w których oprócz rachunków nic więcej zgoła nie było.

Nagle uczuł Brandlmajer, jak mu ktoś z tyłu wyrwał nagle tekę. Obrócił się szybko i ujrzał uciekającego rabusia.

Na krzyki obrabowanego, rzuciło się kilku przechodniów w pościg za bandytą, chociaż ten znajdował się już w znacznem oddaleniu. Dopędził go jednak felwebel wojskowy niejaki Majer.

W tej chwili ścigany wyciągnął rewolwer i wypalił. Kula gwizdnęła koło ucha żołnierza, nie wyrządziła mu jednak żadnej krzywdy.

Ścigający zatrzymali się; przestrzeń między nimi a rabusiem, zwiększyła się. Podczas dalszego pościgu, strzelał on jeszcze kilkakrotnie, ale bez skutku.

Ale w tym momencie potknął się i upadł. Teraz dopadli go ludzie i wydarli broń z ręki. Oburzony tłum wymierzył złoczyńcy doraźną sprawiedliwość i zbił go tak straszliwie, że napastnik

był cały krwią oblany. Twarz miał rozdartą nożem.

Przy rewizyi znaleziono u niego dwa ostrymi patronami naładowane rewolwery i wytrych. Wśród olbrzymiego zbiegowiska zaprowadzono go do komisaryatu na Mariahilf, gdzie podał, że się nazywa Mehmed Nuran i jest tureckim poddanym. Dawniej był w służbie zdetronizowanego sułtana u którego był zaufanym pokojowcem, a mianowicie podawał mu ręcznik przy myciu, a prócz tego oddawał mu również usługi, jako szpieg. Po rewolucyi i zdetronizowaniu sułtana umknął za granicę przed zemstą ludu.

W urzędzie zachowywał się zbrodniarz impertynencko i wyzywająco. Walił pięściami i kopał przytrzymujących go żołnierzy, aż wreszcie został związany.

Stwierdzono, że Mehmed Nuran bagaż swój zostawił na dworcu kolei. Miał widocznie zamiar odjechać najbliższym nocnym pociągiem, a środków do podróży miał mu rabunek dostarczyć.

Zagadkowy skarbiec.

W pobliżu historycznego miasta Ronda w Hiszpanii odkryto przypadkowo we wiosce „Casa del rey moro“ podziemny skarbiec. Grunt przeszedł w ostatnich czasach w posiadanie amerykańskiego milionera Parina z Baltimore.

Mister Parin rozporządził sam wysadzenie ruin w powietrze za pomocą dynamitu. Przy tej sposobności znaleźli robotnicy stare, złote monety. Potem odkopano schody, składające się z 300 stopni, a wiodące do obszernej podziemnej katakomby wypełnionej literalnie złotem. Na razie policya wzięła w swe przechowanie te nieprzemierzone skarby aż do rozstrzygnięcia prawnego: komu je przyznać należy.

Zamaskowany bandyta.

Bezczelny, bezprzykładny napad bandycki został dokonany w mieście Paterson.

Pewne prywatne towarzystwo urządziło zabawę tańcującą, w której wzięło udział bardzo wiele pań bogato wystrojonych i zwyczajem zamożnych amerykanek — obwieszonych formalnie klejnotami i biżuteryami.

Właśnie, kiedy zabawa szła w najlepsze — zjawił się, nie wiedzieć skąd i jak — elegancko ubrany jakiś człowiek w czarnej masce na twarzy. W obu rękach trzymał rewolwery gotowe do strzału i zawołał gromkim głosem:

— Ręce do góry!

Wszczął się nie do opisania popłoch i przerażenie wśród obecnych. Panowie i panie uczynili zadość żądaniu bandyty, wiele pań zemdlało.

Sterroryzowawszy w ten sposób towarzystwo, dał znak usługującemu kelnerowi.

Ten — będący oczywiście w zmowie z bandytą — przystąpił natychmiast do szczegółowej rewizyi obecnych.

Panom poodbierał zegarki, łańcuszki, srebrne i złote papierośnice, paniom wszelką biżuteryę, za poszukiwaniem której, nie wahał się rewidować je aż do bielizny, przypuszczając, że która z nich ukryła coś przed okiem bandytów.

Następnie obydwaj: człowiek w masce i kelner zniknęli ze sali, wypaliwszy jeszcze kilkakrotnie z rewolwerów w drogocenne zwierciadła i stare obrazy.

Rozdarta przez dzikie zwierzęta.

Niedawno temu, zdarzył się straszny wypadek w pewnym angielskim teatrzyku t. zw.: „Variete“, gdzie, jak wiadomo, produkują się linoskoczki, brzuchomowcy, szansonistki i t. p. „artyści“.

W skład programu wchodziły także produkcye w zakresie poskramiania dzikich zwierząt, a bestye, mające być publiczności demonstrowane — umieszczone w dużej klatce na kółkach, oczekiwały swojej kolei pod sceną w przejściu do garderób artystów. Jedna ze śpiewaczek, nie wiedzieć już w jaki sposób zbliżyła się za nadto do żelaznych krat klatki, tak, że stary tygrys wyciągnął przez nie straszną swą łapę i złapał ramię nieostrożnej śpiewaczki.

Gdy na rozpaczliwy krzyk nieszczęśliwej zbiegli się koledzy, znaleźli młodą kobietę, pławiącą się we własnej krwi przed klatką. Jedno ramię jej było kompletnie odarte z ciała. Z trudem tylko udało się wyrwać ofiarę z pazurów tygrysich.

Szansonistka przewieziona została natychmiast do szpitala, gdzie na miejscu amputowano jej ramię.

Z cyklu przygód Szerloka Holmesa.

TRAGEDYA ZAZDROŚCI.

ROZDZIAŁ I.

Dwa trupy w jednej trumnie.

(Od naszego korespondenta X. Y. Z.)

Wczoraj dokonano na Tamizie strasznego odkrycia:

W miejscu, w którem rzeka pod Westhourzok tworzy wielkie kolano, znaleziono pływającą trumnę z dwojgiem zwłok.

Jeden rzut oka na ofiary, spoczywające w trumnie w tkliwym uścisku miłości, usuwał wszelkie wątpliwości, co do istoty popełnionej tu zbrodni. Był to czyn jakiejś iście szatańskiej zazdrości. Dziwny w swoim rodzaju kształt pływającej trumny narzucał przypuszczenie, iż specyalnie zbudowano ją, aby tu pochować dwoje tych nieszczęśliwych. Łatwo domyśleć się, iż ci, którzy tak smutny koniec znaleźli we wnętrzu trumny, to mężczyzna i kobieta. I rzeczywiście, w niezwykłym tym schowku znaleziono zwłoki mężczyzny i kobiety, należącej, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, do najlepszej klasy towarzyskiej. Trumna cała składała się z czterech prostych desek, zaopatrzonych we drzwi. Woda Tamizy prawdopodobnie spłukała farbę, którą mały ten domek był pierwotnie pomalowany, gdyż widoczne jeszcze były pojedyncze smugi barw na deskach. Nadawało to całej skrzyni pewnego charakteru starożytności.

Drzwi skrzyni zamknięte były na rygiel, który dziwnym trafem znajdował się zewnątrz.

Nieszczęśliwe ofiary, niewątpliwie zaskoczone zostały w tem niezwykłym ukryciu przez uniesionego żądzą zemsty małżonka, lub oszalałego kochanka, który zamknął oboje tutaj, aby następnie skazać ich na okropną śmierć.

Oboje nieszczęśliwi zostali zapewne zatopieni, wobec tego, że fale Tamizy wtargnęły bez przeszkody przez szpary i zalały wnętrze skrzyni. — Policya zabrała już ciała wraz z osobliwem narzędziem ich śmierci. informator nasz może jednak donieść nam już obecnie, że widoki wyszukania sprawcy, który zbrodnię tą, bez kwestyi w szale zazdrości, popełnił, są nadzwyczaj nikłe. Bielizna zamordowanych nie nosi najmniejszego znaku, któryby stanowił jakikolwiek punkt zaczepny w śledztwie. Mężczyzna z zupełnie łysą głową, w wieku około czterdziestu lat, nie ma w obliczu swem nic osobliwego, u kobiety najwięcej wpadają w oczy wspaniałe rudawe włosy. Musiała ona być bardzo piękną, jednak piękność jej nie wywierała szczególnego wrażenia.

Faktem jest, że żadnej broni nie użyto przeciw obu ofiarom, a jednak co pozostaje niewytłomaczonem, że na białym stroju zmarłych, odkryto ślady krwi, której woda Tamizy nie zdołała jeszcze zupełnie spłukać.

Będzie zadaniem policyi, przy pomocy chemików sądowych, kwestyę tę wyświetlić.

Okoliczność ta czyni jednak całą sprawę niezwykle zagadkową i tajemniczą i każe powątpiewać, czy tych dwoje byli jedynemi tylko ofiarami jakiejś na wielką skalę dokonanej zbrodni.

Kto wie, czy gdzieś na zapadłej uliczce Londynu, lub nawet w jakim pałacu nie rozegrała się straszna katastrofa i czy jutro lub dzień dzi-

siejszy nie przyniesie nam jakich zdumiewających niespodzianek.

Szerlok Holmes odłożył na bok dziennik z lekkiem ziewaniem:

— „Daily Mail“ silnie poluje za senzacyami w obecnej chwili — rzekł do swego ucznia Harrego Taksona, który z żywem zainteresowaniem porwał gazetę i pilnie przebiegł oczyma sprawozdanie o morderstwie.

— Jest to jednak niezwykle zagadkowa sprawa, mr. Holmes!

— Przyznaję, że sprawozdanie to zawiera kilka godnych uwagi szczegółów, które wzbudzają tem większe zainteresowanie, że ani „Daily Mail“, ani policya, jak widać, nie zdają sobie z nich jasno sprawy.

Rozległ się cichy głos dzwonka. Harry Takson wybiegł z pokoju.

— Mistrzu, telefon!

Równocześnie zaraz wołał:

— Oficer policyjny trzynastego rejonu, wzywa cię, mr. Holmes!

Wielki detektyw wytrząsnął fajkę do popielniczki i udał się do telefonu.

— Tutaj Szerlok Holmes!

— Jestem szczęśliwy, że zastaję pana w domu. Słyszał pan już o naszem strasznem odkryciu?

— Tak jest!

— Cóż pan na to?

— Nic, dopóki nie obejrzę ciał zamordowanych.

— To jest odpowiedź, która mi się podoba! Przybywaj pan natychmiast, mr. Holmes! Pan jesteś jedyny człowiek, pełen doświadczenia i wiadomości historycznych!

Szerlok Holmes roześmiał się.

— Historycznych wiadomości? Czy to stoi może w związku ze znalezionem ciałem kobiety?

— No, mr. Holmes! Rozchodzi się tu o szczerozłoty puhar do wina.

— Gdzie go znaleziono?

— Pomiędzy oboma ciałami, gdy podjęto szczegółowe badania.

— Hm. Sprawa zaczyna być interesującą. Z jakiego czasu określa pan pochodzenie kielicha?

— Jest to dla mnie niemożliwe do ustalenia. Nie mam zaś zamiaru w jakikolwiek sposób skompromitować się przy tej okazyi. Między nami mówiąc, zdaje mi się, że puhar ten pochodzi z czasów starożytnych Franków, lub nawet Longobardów, ma bowiem w całej swej formie i wykonaniu coś z charakteru włoskiego.

— Nie sądzi pan, aby był on angielskiego pochodzenia?

— Nie, nie mógłbym jednak tego w żaden sposób udowodnić. Jakkolwiek poruszyliśmy wszystko, aby stwierdzić identyczność obojga zamordowanych, dotąd nie udało nam się uzyskać w tym kierunku żadnych danych. Błądzimy na oślep w ciemnościach. Puhar ten jedynie może skierować nas na właściwą drogę.

— Allright! Zaraz tam przybędę!

Szerlok Holmes poinformował ucznia w kilku słowach o celu swej wizyty w Scotland Yard i natychmiast obaj udali się automobilem do centrali policyjnej.

Stał tam już przed bramą mały, chudy, o kabłąkowatych nogach inspektor policyjny i oglądał się na wszystkie strony.

— Ach jesteście panowie! I to ze zwykłą sobie szybkością! Kiedyż sprawi pan sobie, mr. Holmes pierwszy balon ze sterem?

— Natychmiast, skoro tylko stracę odczucie stałego gruntu pod nogami, mr. Snatterboks!

— Co do mnie, to muszę przyznać, iż nad życie pragnąłbym latać w powietrzu.

Harry Takson wzruszył ramionami i rzekł z impertynenckim uśmiechem:

— To mogłeś pan właściwie już dawno umieć wobec tylu głupstw, jakie pan do dziś popełniłeś

Szerlok Holmes podążył szybkim krokiem za oficerem policyjnym, podczas gdy jego niepokaźny rywal sprzeczał się dalej z Harrym.

Oba ciała były już złożone w policyjnej kostnicy i to ściśle w tem samem położeniu, jak je znaleziono. Harry, potrząsając głową, oglądał drewniany domek, który pod wpływem wody, uległ znacznemu zniszczeniu.

Opłakany wygląd zwiększały jeszcze wyblakłe smugi farby. Można było myśleć, że ma się przed sobą jakiś średniowieczny zabytek, jakąś budkę kąpielową z dawnych dobrych czasów, która obecnie stała się dla obojga nieszczęśliwych zaimprowizowaną trumną.

Drzwi paki były teraz szeroko otworzone i można było widzieć spojonych uściskiem, młodą kobietę i mężczyznę, którego głowa tak była łysą, iż prawie odrażająco odbijała od ciężkich, bujnych rudo-blond włosów kobiety.

Szerlok Holmes stał chwilę z założonemi ramionami nad tym tragicznym obrazem.

— Czy ciała zostały już dokładniej zbadane?

— Koroner przeprowadził już badania. Nie mieliśmy wobec tego żadnego powodu, rozrywać zmarłych przemocą. Na ciałach ich niema absolutnie żadnej rany, ogółem nic, coby mogło wskazywać na zadaną gwałtem śmierć.

Szerlok Holmes uśmiechnął się.

— Czyż my jednak kryminaliści mamy ostatecznie obowiązek, pozostawiać tych obojga z pietyzmem w tym uścisku?

Urzędnik odparł nieco niepewnie:

— Sprawa przedstawia pewną trudność, mr. Holmes. Tężec pośmiertny wystąpił tu już od dłuższego czasu i nieszczęśliwi tak są silnie spojeni sztywnymi członkami, że musielibyśmy im wszystkie kości połamać, rozdzierając ciała gwałtownie.

Wielki detektyw pochylił się nad zwłokami i badał dokładnie zamknięte oczy i paznokcie trupów; nadto zwrócił jeszcze uwagę na szereg innych szczegółów, co wcale nie zachwyciło inspektora Snatterboksa. Ten uważał to wszystko za zbyteczne.

— Ludzie ci są przecież nieżywi — zauważył — czyż potrzeba na to jeszcze jakiego dowodu?

Szerlok Holmes obrócił się.

— Jak pan to rozumie, mr. Snatterboks?

— No, na tyle rozumu to i ja posiadam. Nie trzeba na to specyalnego sprytu, aby wiedzieć, że po barwie paznokci, można skonstatować zgon.

Szerlok Holmes uśmiechnął się ironicznie, nie odpowiadając nic na tą uwagę.

— Obliczenia moje zgadzają się — rzekł po chwili. — Jakkolwiek jest mi to dość przykrem, muszę jednak domagać się, panie oficerze, rozerwania ciał, choćby nawet miały zajść jakie złamania kości.

Oficer nie odpowiedział nic. Wiedział on dobrze, że cokolwiek wielki detektyw zamierzał i postanowił, to w każdym szczególe było skończone i uzasadnione.

Jedynie Snatterboks ośmielił się zaprotestować:

— Ależ to jest profanacyą zwłok, mr. Holmes! Pan przyczyniasz nam niepotrzebnej roboty.

— Czynię to specyalnie dla wskazania panu, mr. Snatterboks, pewnego ciekawego szczegółu, który zupełnie zdołał ujść pańskiej uwagi.

Snatterboks z przesadną grzecznością oddał wytworny ukłon detektywowi, wymownym gestem ręki dając do zrozumienia, że nie spodziewa się nic nowego dowiedzieć.

— Czy masz pan na myśli historyę krwawych śladów? — dodał głośno. — Chwilkę cierpliwości! Znam ją dobrze. Wiem z pewnością, że w obliczu dwojga tych ludzi, zamordowaną została trzecia osoba, mężczyzna lub kobieta.

Szerlok Holmes rzucił przelotne spojrzenie na odzież zmarłych, na której w rzeczywistości widniało kilka wyblakłych plam krwi.

— Niech pan tylko, mr. Holmes, odkryje pochodzenie puharu, to ja już podejmuję się odnaleść tę nieszczęśliwą ofiarę, której krew zbroczyła te suknie.

Harry Takson zatykał sobie usta pięśćmi, by nie wybuchnąć śmiechem:

— Niech Szerlok Holmes wskaże panu tylko liczbę domu, gdzie zbrodnia została popełnioną, to w jasny dzień z wielką latarnią odnajdziesz pan już pewnie drogę do właściwego mieszkania, o ile tylko zapach trupów lub coś niemniej uderzającego naprowadzi pana na miejsce czynu.

Wielki detektyw nakazał spokój. Oficer policyjny polecił dwom konstablom ciała rozłączyć. Stało się to w jednej chwili. Detektyw zesunął ubranie z ramion mężczyzny i wskazał na kilka, ledwie widocznych, sinych plam na szyi trupa.

— Tu mamy, co potrzeba!

Oficer otworzył oczy szeroko.

— Co takiego?

— Kto prowadzi tutaj dochodzenia?

— Ja spisuję protokół — wtrącił Snatterboks.

— Allright! Pisz pan więc moją dyagnozę.

Snatterboks zajął miejsce przy stole, gdzie już przygotowane były przybory pisemne.

— Mamy już jednak wszystko spisane i wyjaśnione.

— Czy także i przyczynę zgonu tych dwojga?

— Ależ naturalnie! Zmarli dla braku powietrza, zalani wodą.

— No, no, musisz pan tu nieco zmienić. Pisz pan więc: zostali oboje uduszeni.

Snatterboks odłożył na bok pióro, które już trzymał w ręce i począł sam badać sine plamy na zwłokach.

— Do pioruna! Przecież to mogą być pręgi, pochodzące od ucisku ubrania. Niech pan nie zapomina, mr. Holmes, że kobieta ta nosiła nadzwy-

czaj wąski kołnierzyk — też przeklęta moda — a kołnierzyk mężczyzny przylega do jego szyi, jak z żelaza.

Wielki dedektyw nie odpowiedział zrazu, gdyż przyłożył powiększające szkło tak do szyi mężczyzny, jak i kobiety.

— Harry! Czy wziąłeś kieszonkowy aparat ze sobą?

— Naturalnie, mr. Holmes!

— Weź więc najwięcej na światło wrażliwą kliszę i zrób dokładne zdjęcie tych plam. Następnie odfotografujesz zwłoki. Postaraj się teraz o jaką torebkę, do której zabierzemy rude włosy tej kobiety. Udaj się również do najbliższego handlu z perukami i przynieś mi męską perukę z czarnymi włosami z rozdziałem po prawej stronie. Niech perukarz nie zapomni rozdzielić włosy aż do szyi.

— Allright, mistrzu! Postaram się najpierw o perukę, a potem wykonam zdjęcia.

Harry Takson wybiegł, a Snatterboks osunął się ociężale na krzesło.

— Ależ to wszystko nie do pojęcia. Co pan zamierzasz z czarną peruką i na co chcesz pan obcinać rude włosy? Wystarczy przecież, gdy zabierzesz pan z nich kilka zwojów. Potrzebny panu aż cały kufer włosów? Czy pan jesteś perukarzem i zbierasz je?

— Ani jedno z tego — odparł Szerlok Holmes, z podziwu godną obojętnością nie zwracając stale uwagi na chełpliwe wywody wiecznie trajkoczącego inspektora.

— Pragnąłbym jedynie zbadać, gdzie peruka tej damy została kupioną.

— Pe—ruka?

— Naturalnie! Czyż nie zauważyłeś pan, że te rude włosy nie są prawdziwe? Że z niezwykłą zręcznością wsadzono na głowę tej kobiety rudą perukę i tak ją umocowano, że nawet w wodzie nie oddzieliła się od głowy?

— Niemożliwe!

— Dostarczę panu zaraz dowodu! — odparł Szerlok Holmes.

Ujął następnie długie sploty rudych włosów, jakie spotyka się jedynie na portretach Tycyana i zamierzał oderwać je od głowy jednem szarpnięciem. Peruka była jednak tak silnie wplątaną we włosy prawdziwe, że dłuższej chwili czasu potrzebował detektyw, zanim kunsztowne to dzieło od głowy oddzielił.

Wygląd zmarłej mimo to nie uległ żadnej uderzającej zmianie, a cała różnica była w tem, że piękne jej prawdziwe włosy stały się tylko nieco cieńsze i krótsze.

— Nie do uwierzenia! — krzyknął zdumiony Snatterboks. — To prawdopodobnie jakaś aktorka, którą w czasie jakiejś roli zamordowano.

— Stawiasz pan czasami wprost fantastyczne przypuszczenia, drogi Snatterboks — odpowiedział Holmes.

Wyjął z kieszeni małą flaszeczkę i płynem w niej zawartym rozpoczął obmywać i czyścić włosy zmarłej.

Po upływie niespełna dwudziestu minut, jakby na czarodziejskie zaklęcie, zmarła, zupełnie do siebie niepodobna, spoczywała na marach. Głowę jej otaczały zwoje kruczo czarnych włosów.

W tej samej chwili wszedł do kostnicy Harry Takson.

— Oto przedmioty, których życzyłeś sobie, mistrzu!

— Jak pan jednak mogłeś tak szybko dokonać takiej dyagnozy. Widocznem jednak zaraz było, iż po jednem spojrzeniu na trupy, wiedziałeś pan, co to się święci.

— W samej rzeczy! Po wyglądzie obojga mogę już teraz stwierdzić, że nie przebyli dłużej w wodzie nad sześć godzin.

— Wspaniale! To samo stwierdził i lekarz policyjny.

— Pięknie! Zdaje się, że zapomniał on jednak równocześnie skonstatować, że stężenie ciał nastąpiło conajmniej przed 10 godzinami.

— W jakiż sposób dochodzisz mistrzu do tego wniosku? Przecież stężenie zwłok, czy jest silniejsze, czy słabsze, nie da się obliczyć na godziny?

— Masz słuszność. Doskonałą jednak wskazówką w tym kierunku są charakterystyczne odznaki na paznokciach trupów, mr. Snatterboks.

Inspektor podniósł swe, jakby pajęcze nogi, wydłużone palce do ócz.

— Hm... To muszę sobie zapamiętać na przyszłość.

— Pan masz wątrobiane plamy na paznokciach — żartował złośliwie Harry — nieprędko nastąpi u pana tężec pośmiertny.

Tego było już Snatterboksowi zawiele. We właściwy sobie sposób począł wygłaszać Harremu surowe kazanie. Szerlok Holmes w milczeniu krzątał się koło trupów. Oficer policyjny z nie-

mym podziwem śledził pracę wielkiego detektywa. Ten włożył najpierw czarną perukę, przyniesioną przez Harrego, na łysą głowę mężczyzny.

Snatterboks przerwał swą mowę i utkwił wzrok w tem nowem zjawisku.

— Ależ... mr. Holmes, to chyba tylko czcze domysły! Skądże pan możesz wiedzieć, że człowiek ten nosił perukę?

— Nie nosił on wcale peruki, lecz miał własne, piękne, czarne włosy.

— Miałyby mu wszystkie wypaść?

— Kochany inspektorku, jesteś pan naiwny, jak dziecko!

— Mylisz się wielki mistrzu! — odparł Snatterboks z godnością. — To nie naiwność, lecz ironia!

— Mistrzu — wtrącił Harry — wiem już dlaczego uciekłeś się do tego pomocniczego środka! To, co ty natychmiast stwierdziłeś, również nie uszło i mej uwadze. Oto, gdy przybliżyłeś powiększające szkło do łysej głowy zmarłego, spostrzegłem podobnie jak i ty niezliczone mnóstwo małych czarnych punkcików, które niczem innem nie mogły być, jak tylko cebulkami włosów. Jaśniejszy pas po prawej stronie głowy oznaczał wyraźnie rozdział, którym zmarły dzielił swe włosy przez całą głowę.

Szerlok Holmes skinął potakująco.

— Wyśmienicie! Jak widzę nie tracisz chłopcze na próżno czasu w mej szkole. Panie inspektorze, może zajmiesz się pan w dalszym ciągu uzupełnianiem protokołu. Sądzę, że to będzie dla królewskiego prokuratora niezwykle zajmujące.

Snatterboks wziął się znowu rad nie rad do zaprotokołowania spostrzeżeń i wywodów Szerloka Holmesa. Dłuższy czas słychać było tylko skrzypienie pióra po papierze i głębokie westchnienia piszącego.

Nie mógł on strawić tak lekko tej nowej kompromitacyi, jaką mu właśnie zgotował Szerlok Holmes. Uchodził przecież za najwybitniejszego detektywa w Scotland Yard i artykuł o zbrodni, ogłoszony w „Daily Mail“, pochodził z jego ręki.

Wkońcu podniósł się i widział jak ruda peruka kobiety znikła w kieszeni Holmesa, dalej, jak Harry dokonał całego szeregu zdjęć trupów, a wreszcie zauważył, że Szerlok Holmes odciął kawałek z ubrania zmarłych, na którem widniała wielka plama i schował do kieszeni.

— Aha! Krew! No mistrzu, jeżeli byłeś tym razem nieco szczęśliwszy w swoich badaniach odemnie — to załóżmy się jednak, że ja odkryję drugą zbrodnię, na którą te ślady krwi wskazują.

— Zgoda! Załóżmy się!

Formalności zakładu dopełnił uścisk dłoni.

— Pragniesz pan przez to wyrazić, że zbrodni tej nie wyśledzę?

— Tak myślę.

Snatterboks rozczerwieniał jak rak z oburzenia.

— Twierdzi pan zatem, że ja, Jonatan Samuel Eleazar Snatterboks, inspektor ze Scotland Yard nie jestem zdolnym wyświetlić tej zbrodni?

— Well.

— Ooooo! Pan jesteś przerażająco szczery, mr. Holmes! No i przytem dość naiwny!

— Tak pan sądzi? Inspektorze to tylko ironia!

Snatterboks wsadził ręce do kieszeni i odwrócił się. Tymczasem zwrócił się do Szerloka Holmesa oficer policyjny i położył na biurku zagadkowy kielich, który znaleziono w trumnie pomiędzy zmarłymi.

Szerlok Holmes zamyślił się chwilę i rzekł:

— Ten, który zmarłym włożył kielich do trumny, uczynił to nie bez powodu. Pewnie zależało mu na tem, by kielich ten został właśnie pomiędzy trupami znaleziony. Sądzę przeto, że stwierdzenie starożytności i pochodzenia kielicha, również rzuci nieco światła na zbrodnię.

Szerlok wziął puhar do ręki.

— Zaiste! — zawołał — kosztowne to cacko.

I rzeczywiście, puhar przedstawiał wcale pokaźną wartość. Był on stosunkowo dość obszerny, jak naczynia, których zwykle używano do picia w wiekach średnich, miał smukłą lecz silną szyjkę i spoczywał na szerokiej podstawie. Sam kielich wykonany był również z najczystszego złota, a dookoła zdobił go wieniec cennych rubinów.

Szerlok Holmes oglądał puhar przez chwilę.

— Miałeś pan słuszność, panie oficerze. Puhar ten ma co najmniej trzysta lat, mimo to jest jednak angielskiego pochodzenia.

— Powiedz mi pan jednak, na miłość boską, mr. Holmes, skąd przyszli w posiadanie naczynia z przed trzech wieków ci ludzie, pozbawieni życia w tak zagadkowy sposób?

— Odpowiedź na to jest prosta. Ten, który winnym jest ich śmierci, włożył puhar zamordowanym do trumny.

— W jakim celu jednak?

— Prosta rzecz — wtrącił już teraz Snatter-

boks — stało się to, aby władze wprowadzić na błędną drogę.

— Podzielam zdanie pańskie, mr. Snatterboks w zupełności — rzekł Szerlok.

Snatterboks, zachęcony tą pochwałą, ciągnął dalej:

— Złoczyńca zamierzał prawdopodobnie wprowadzić nas w błąd, co do poznania wieku i pochodzenia trumny. Mniemał on, że będziemy przypuszczać, iż trumna pochodzi z jakiegoś obcego kraju i z została po długiej wędrówce wyrzuconą, przez fale morskie na nasze wybrzeże.

— Z pewnością chciał zbrodniarz także otumanić nas i co do wieku ciał, abyśmy byli przekonani, że trupy również od trzystu lat spoczywają w tej trumnie — wtrącił się do rozmowy Harry, widząc wesołe błyski oczu mistrza. — Naturalnie, że nie damy się na coś podobnego złapać i nie uwierzymy w to, mr. Snatterboks, aby Londyn mógł na ofiary zbrodni, dokonanej w obcym krajn, wywrzeć aż tak wielka siłę przyciągającą, żeby ta miała ciągnąć trumnę w górę Tamizy.

Snatterboks rzucił się jak postrzelony.

— Jestem dzisiaj nieco roztargniony — bronił się półgłosem.

— Rzeczywiście — odparł Szerlok Holmes.

Kostnicę wypełnili tymczasem wyżsi i niżs urzędnicy sądowi i policyjni, zainteresowani żywo faktem, iż wielki detektyw ujął w swe ręce tak tajemniczą zbrodnię.

To też kompromitacya chełpliwego Snaterboksa była tym razem dość dotkliwą. Szerlok Holmes usiadłszy tymczasem na krześle, zwrócił się do urzędników:

— Jak dawno temu dokonano ostatniego włamania do kościoła St. Saviour przy moście londyńskim?

— Niema temu jeszcze czterech tygodni — odparł jeden z nich.

— Wobec tego należałoby stwierdzić, czy wśród naczyń kościelnych nie brak tam kielicha, który w każdym razie pochodzi z czasów, gdy jeszcze kościół ten budowano.

Urzędnicy otaczający Holmesa oniemieli.

Wkońcu zabrał głos szef policyjny ze Scotland Yard:

— Twierdzi pan zatem, mr. Holmes, że puhar ten pochodzi z ostatniego okradzenia kościoła, którą to zbrodnię, jak i cały szereg podobnych, do dziś nieodkrytych rabunków, popełniono w Londynie w ostatnim czasie.

— Jestem nawet pewnym, że puhar ten, będący niewątpliwie dziełem końca szesnastego stulecia, tylko ze starego kościoła St. Saviour może pochodzić.

— Ależ odkrycie to stwarza całkiem nową i niezwykłą perspektywę zbrodni — zauważył oficer policyjny. — Mam dokładny wykaz skradzionych z tego kościoła przedmiotów i przypominam sobie teraz dokładnie, iż w wykazie tym jest wzmianka i o kielichu, jednak bez bliższego podania jego pochodzenia.

Szerlok Holmes skinął potakująco:

— Wobec tego cała sprawa jest już rozwiązana.

Wielki detektyw powstał, zabierając się do wyjścia.

— Ależ zupełnie nic nie jest tutaj wyjaśnione! — zawołał inspektor Snatterboks, usiłując zwrócić uwagę przełożonych na siebie.

— Pomyśl pan tylko! Zanim tu przybyłeś, wszystko składało sie pięknie i jasno. Oba ciała były uduszone, kielich uważaliśmy za naczynie, z którego zmarli może jeszcze przed zgonem pili — a teraz przychodzisz pan i obalasz wszystkie nasze hypotezy. Pokazuje się, że kielich ten, to naczynie i to skradzione, kobieta ma włosy czarne, a nie rude, wyjaśnia się, że głowa mężczyzny nie jest łysą, lecz, że ogolono ją po śmierci i kto zdołałby jeszcze spamiętać, ile innych spostrzeżeń poczyniłeś pan w ciągu zaledwie dziesięciu minut. I w tym całym chaosie ma się teraz policya wyznać? Możesz pan rzeczywiście śmiało zakładać się, że nie odkryję żadnego śladu, gdyś pan wszystkie możliwe dyagnozy obalił.

— Spostrzeżenia te wszystkie poczyniłem li tylko do własnego użytku, kochany inspektorze — odparł Holmes z niecierpliwością. — Nigdy jeszcze nie żądałem, ani nie spodziewałem się, abyś pan, jako przedstawiciel policyi, potrafił zoryentować się w mych wnioskach i hypotezach.

Harry Takson, mniej powściągliwy niż detektyw, dodał złośliwie:

— Wcale też nigdy nie liczymy na to, mr. Snatterboks, abyś pan wogóle coś potrafił zdziałać!

Szerlok Holmes, żegnając lekkim ukłonem obecnych urzędników, opuścił kostnicę. Snatterboks jednym skokiem znalazł się przy boku Harrego i podsunął mu pięść pod nos:

— Ostrzegam cię, ty żółtodziobie, że gdy kiedykolwiek spotkamy się w jakiemś ustronnem miejscu, to — — —

— To niech inspektor Snatterboks z góry ponumeruje sobie kości — przerwał mu Harry i pospieszył za detektywem.

Snatterboks przedstawiał tymczasem szefowi z Scotland Yard obszerne sprawozdanie z całej sprawy, upstrzone bez miary wyrazami obcymi.

Kompromitacyę całą zawdzięczała policya jedynie Snatterboksowi, za którego sprawą fałszywe sprawozdania dostały się na szpalty gazet.

Nie był to wcale szczęśliwy dzień dla inspektora policyi.

ROZDZIAŁ II.

Krok naprzód.

— Jest tam co nowego?

— Nie mistrzu.

Szerlok Holmes usiadł na kanapę i zapalił krótką fajkę. Wkrótce gęsty, szary dym napełnił cały pokój.

Harry przeglądał ostatni numer „Timesa".

— Reprodukcye są zupełnie dobre, mr. Holmes. Można odrazu rozpoznać zwłoki. Jestem pewny, że niezawodnie zgłoszą się do nas osoby, które znały tę kobietę lub mężczyznę.

— Allright! Jestem zdziwiony, że dotąd nikt się jeszcze nie zgłosił, chociaż fotografie zamieściliśmy we wszystkich dziennikach. Z peruką obszedłem wszystkich perukarzy i fryzyerów w Londynie, lecz żaden z tych nie robił jej.

— Wszystkie gazety pełne są Snatterboksa — zauważył Harry. — Gdyby jego relacye były prawdziwe, to byłby on już na tropie zbrodniarzy.

— Ciesz się z tego i czekaj, aż się znowu zblamuje.

— Mogę mówić otwarcie, mistrzu?

— Mów, przecież nie mamy tajemnic przed sobą.

— Otóż dziwi mię bardzo, mistrzu, że pozwalasz Snatterboksowi tropić za zbrodnią, której znaki, w postaci krwi, znajdują się na sukni owej kobiety. Przecież to jest niemożliwem, żeby Snatterboks nie miał wpaść na prawdziwy trop, a wtedy będzie nad nami tryumfował.

Szerlok Holmes wyjął z kieszeni jakiś strzęp, na którym, wśród różnych barw, odbijały się także plamy krwi.

— Zbadałem to dokładnie, za pomocą środków chemicznych i nie przegram zakładu. Ale ktoś tam dzwoni, idź zobaczyć!

Harry wyszedł i po chwili wrócił z paczką listów. Szerlok Holmes szybko je przejrzał i rzucił na stół, zatrzymując jeden, który czytał z całą uwagą.

List ten zawierał następujące słowa:

„Wielce Szanowny Panie!

W jednym z dzienników znalazłem fotografię zwłok, wyciągniętych z Tamizy. Zauważyłem tam także wezwanie, aby każdy, komu znane są jakieś szczegóły w tej sprawie, zgłosił się w redakcyi dotyczącego dziennika.

Ponieważ kobietę, która padła ofiarą tej strasznej zbrodni, znałem osobiście, postanowiłem odpowiedzieć na powyższe wezwanie. Domyśliwszy się, że autorem tego wezwania jesteś pan, mr. Holmes, postanowiłem napisać odrazu do pana. Jeśli kwota 200 funtów za ważną wiadomość nie będzie się wydawać panu za wysoką, to przyjdź pan jutro rano o godzinie dziesiątej do Hydeparku w Londynie, gdzie się bliżej porozumiemy. Będę oczekiwał pana w północnej części parku, na końcu alei. Poznasz mię pan po czerwonym goździk który będę miał w dziurce od guzika surduta".

Szerlok Holmes przeczytawszy ten list, podał go Harremu. Ten z niemniejszą uwagą przeczytał go i zapytał:

— Idziesz tam, mistrzu?

— Rozumie się.

— I zapłacisz pan 200 funtów?

— Alboż myślisz, że to nie warto?

— Interesuje więc pana autor tego listu?

— Naturalnie. Człowiek ten dokonuje pewnego rodzaju wymuszenia. Udzielenie mi wiadomości, do czego sam mógłbym go zmusić sądownie, robi on zawisłem od wypłacenia mu 200 funtów. Ale mniejsza z tem. Pismo zdradza człowieka, który jest dla mnie interesującym pod względem patologicznym. Może więc człowiek ten również interesującym być pod względem prawniczym.

Z tego listu wnioskuję, że on coś wie, ponieważ nie mieszka stale w Londynie.

Człowiek ten pisze wyraźnie: Hydepark w Londynie. Osoba, mieszkająca w Londynie, nie doda nigdy: w Londynie.

Harry nie mógł wyjść ze zdziwienia na te słowa, była to bowiem zadziwiająca prostotą logika.

Na drugi dzień Holmes i Harry, o godzinie dziewiątej rano, zjawili się w parku na oznaczonem miejscu i czekali napróżno dwie godziny. Nikt nie przybył.

Holmes zły zawrócił do domu. Nie pierwszy raz to zdarzało się, że wielki detektyw, chcąc się upewnić, tracił w ten sposób wiele czasu i padał ofiarą mistyfikacyi.

— Bardzo cię to dotknęło mistrzu? – zapytał Harry, widząc chmurę na czole Szerloka Holmesa.

— To, żeśmy napróżno zrobili ten spacer, to najmniejsze, ale obawiam się, że straciliśmy doskonałą sposobność do prowadzenia ze skutkiem dalszego śledztwa.

— Przecież, gdyby ten człowiek coś wiedział, to byłby tu przyszedł.

— Nie wątpię o tem, że byłby przyszedł, gdyby mu nie przeszkodzono.

— Co? Chyba nie myślisz mistrzu...

W tej chwili nadbiegło kilku chłopców, każdy z paczką gazet w ręce, wołając:

— Nowa afera! Inspektor Snatterboks na tropie! Zagadkowe morderstwo!

Harry zatrzymał jednego z chłopców, kupił gazetę i zaczął czytać półgłosem:

— Inspektor Snatterboks przywiózł dziś do szpitala policyjnego jakiegoś ciężko chorego człowieka, którego znalazł w jednym z przedmiejskich szynków. Lekarze nie byli w stanie rozpoznać choroby, ani też nie mogli określić, czy nie zachodzi tu jakaś zbrodnia. Chory niedługo umarł, nic nie powiedziawszy. Wyjaśnień mógłby tu udzielić Szerlok Holmes, który był ostatnią osobą, z jaką zmarły się zetknął. Przy zmarłym znaleziono kwit, opiewający na 200 funtów, a wystawiony dziś rano na imię Szerloka Holmesa. Widocznie wielki detektyw miał mu powyższą kwotę wpłacić. Mr. Snatterboks sądzi, że zmarły był jednym z agentów, których Szerlok setkami utrzymuje w Londynie.

— Znowu Snatterboks! – zawołał Harry, przeczytawszy tę wiadomość.

Ale Holmes nie zwrócił na to uwagi, zawołał dorożkę i wraz z Harrym pojechali do szpitala policyjnego.

Około zwłok nieznajomego stało kilku lekarzy; był tam także Snatterboks, który widząc wchodzącego Szerloka Holmesa, zawołał z tryumfem:

— Cóż pan teraz powiesz? Wykryłem zbrodnię, czy nie?

— Po pierwsze — odpowiedział Harry — nie założyliśmy się o wykrycie pierwszej lepszej zbrodni, po drugie, pan nie wiesz, z jakiego powodu zmarł ten mężczyzna, a wreszcie tylko my możemy dać panu wyjaśnienia, gdyż Szerlok Holmes i ja widzieliśmy się z nim dziś rano i razem zrobiliśmy w nocy daleką wycieczkę. Gdyśmy się z nim rozstawali, był już dobrze pijany. Jest to tysiąc siedmset dziewięćdziesiąty ósmy agent, pozostający na służbie Szerloka Holmesa. Pomyśl więc pan, jak bajecznie bogatym być musi Szerlok Holmes, jeżeli każdemu swemu agentowi daje po 200 funtów na drobne wydatki.

Inspektor otworzył usta i spojrzał na Harrego wzrokiem bazyliszka. Nie wiedział, co ma o tem sądzić.

— Do pioruna! — zawołał wreszcie. — Skąd mr. Holmes bierze tyle pieniędzy?

— Otrzymuje je od pewnej księżniczki tureckiej, która jest jego wielbicielką i ciągle jeszcze ma nadzieję, że ostatecznie detektyw pojmie ją za żonę.

Snatterboks odpowiedział mu przekleństwem, a Harry uważał za stosowne przysunąć się do Szerloka Holmesa.

— No, już mu więcej nie trzeba, już nie będzie rozpowiadał o naszych agentach.

— Ten człowiek został otruty — rzekł nagle Szerlok Holmes, oglądając pilnie zwłoki — a pan pewnie znalazłeś go w jakiejś knajpie, gdzie puszczał pieniądze otrzymane odemnie.

— Tak jest, dzień i noc włóczyłem się po wszystkich knajpach londyńskich, szukając śladów tej tajemniczej zbrodni, za którą obaj śledzimy, człowieka tego znalazłem na ulicy, przed jedną z knajp w Poplar, w pobliżu doków.

— Przeszukałeś pan naturalnie szynk i dowiedziałeś się, gdzie mieszkał?

— Byłem tam dopiero wczoraj i byłoby mi nie na rękę, gdyby wiadomość o tem dostała się do publicznej wiadomości. Rozumiesz mię pan?

— Well, well, well! — odpowiedział Snatterboks, zapisując coś w notesie.

Szerlok Holmes pożegnał lekarzy i opuścił szpital.

— No, jesteśmy dziś tacy mądrzy, jak i wczoraj — rzekł Harry.

— Nie trap się o to — odpowiedział mu wielki detektyw. — Wkrótce się czegoś dowiemy.

Popołudniowe dzienniki przyniosły rzeczywiście ciekawe odkrycia, a mianowicie, że otruty w tajemniczy sposób nieznajomy, spędził poprzednią noc w swojem mieszkaniu przy Victoria Street Nr. 17 w towarzystwie Szerloka Holmesa. Zadaniem policyi będzie stwierdzenie, jaki stosu

nek łączył Szerloka Holmesa z tym człowiekiem i co to wszystko miało właściwie znaczyć.

Tak mniej więcej brzmiały doniesienia dzienników.

Szerlok Holmes tryumfował.

— Złapaliśmy przecież tego blagiera Snatterboksa w jego własne sidła — rzekł do Harrego i kazał mu zawołać dorożkę, poczem obaj pojechali do domu przy Victoria Street Nr. 17.

Mieszkanie zmarłego, Samuela Smithsona, znajdowało się na trzeciem piętrze. Składało się ono z trzech elegancko, lecz bez smaku umeblowanych pokoi, przepełnionych najrozmaitszymi sprzętami i licznymi antykami, przedstawiającymi ogromną wartość. Obok figury Wenus, stał złoty krucyfiks, wysadzany brylantami. Koło szermierza z Karenny wisiał kosztowny obraz, przedstawiający Madonnę i t. p.

Wielki detektyw przystąpił odrazu do biurka, otworzył je wytrychem i długo przeszukiwał tegoż wnętrze.

Wyjąwszy z szuflady kilkanaście przedmiotów, i listów, do których przywiązywał szczególniejszą wagę, schował je do portfelu i rzekł do Harrego:

— Wynośmy się teraz stąd co prędzej, zanim policya wlezie nam na pięty i roztrąbi na cały świat, żeśmy tu byli.

— To mię pan nie znasz — dał się słyszeć nagle jakiś głos.

W kominie zaczęło się coś ruszać i po chwili oczom zdumionych detektywów ukazał się uczerniony sadzą inspektor Snatterboks.

— Przeglądnąłem już wszystkie listy, nim pan tu przyszedłeś, mr. Holmes — rzekł. — Powiedz mi pan, jaką one wartość mają dla pana? Przecież to wszystko, to tylko listy miłosne. Po co je pan zabierasz?

— Ponieważ interesuję się czasem i listami miłosnemi, zwłaszcza takiemi, jak te, które tu znalazłem.

— No, no, kobietka, z którą Smithson utrzymywał stosunki, musiała tanio sprzedawać swoją miłość.

— Bezwątpienia — odpowiedział wielki detektyw.

— Chciałbym tylko wiedzieć, co ten człowiek, posiadający takie bogate zbiory i mieszkanie, mógł robić w takiej marnej knajpie na Poplar. W knajpie tej widziano go po raz pierwszy — zauważył Snatterboks.

— I jabym to chciał wiedzieć — odpowiedział detektyw.

Snatterboks przystąpił tymczasem do obrazu Madonny i zeskrobał trochę farby.

— To kosztowny antyk — rzekł — znam się na tem.

— Zgadłeś pan — dodał wielki detektyw — pochodzi on z kościoła i został skradziony.

— Czy uważasz pan mr. Smithsona za złodzieja? Teraz rozumiem, to mr. Smithson włożył ten kielich pomiędzy zwłoki w trumnie i on jest mordercą.

— Ależ Smithson nie był wcale złodziejem.

— Do dyabła! Wprowadziłeś mię pan w błędne koło, mr. Holmes. Przecież pan twierdzisz, że ten obraz jest skradziony.

— Ten szermierz, kochany Snatterboks, jest także skradziony. Była to głośna sprawa przed miesiącem.

Snatterboks przestępywał z nogi na nogę.

— A więc to ja tego, oddawna poszukiwanego złodzieja znalazłem i przywiozłem do szpitala.

— Ależ inspektorze, powtarzam panu, że on nie był wcale złodziejem.

— Do stu piorunów! Twierdzisz pan przecież, że wszystkie te przedmioty są skradzione. Jakże więc możesz pan mówić, że człowiek, który tu mieszkał, nie był złodziejem.

— Widzę to wyraźnie z tych listów miłosnych, kochany Snatterboks.

— Mr. Holmes! Wyjaśnij mi pan to, proszę, a do końca życia będę uważał pana, za większego detektywa od siebie.

Szerlok Holmes wyjął jeden z listów i zaczął go głośno czytać:

„Kochany przyjacielu!

Gdy dzisiaj do mnie przyjdziesz, znajdziesz wszystko gotowe na twoje przyjęcie. Wiesz jednak, że moje całusy są drogie. Nie jestem jednak Madonną, lecz pragnę ukazać ci się dzisiaj w postaci Wenus; ale zastrzegam sobie z góry, abyś nie był takim skną, jak ostatni raz i abyś mię dobrze ocenił!

Czekam cię dziś wieczór o godzinie dziewiątej.

Twoja Amelia“.

— I na podstawie tego listu chcesz pan dowieść, że ten człowiek nie był złodziejem?

— Wyjaśnię to panu, inspektorze. Listu tego nie pisała kobieta, widać to na pierwszy rzut oka!

Jest to pismo porozumiewawcze i w przekładzie list ten brzmi:

„Kochany przyjacielu!

Nie skradłem tym razem Madonny, jak poprzednio, mam jednak Wenus, ale ta będzie drogo kosztować. Nie chciałbym, abyś się tak targował, jak przy Madonnie. Przyjdź o godzinie dziewiątej i przynieś więcej pieniędzy.

Inspektor Snatterboks i Harry Takson osłupieli. Także Harremu nie przyszło na myśl, żeby w tych niewinnych na pozór listach, kryć się mogła taka tajemnica.

— W takim razie mr. Smithson był pośrednikiem w sprzedaży skradzionych rzeczy — zauważył wreszcie Harry Takson.

— Z pewnością. Ponieważ niektóre z tych listów noszą stempel pocztowy z zamku Miramare, więc nieznany jeszcze złodziej, który mię w wysokim stopniu interesuje, musiał tam jakiś czas przebywać. W każdym razie człowiek ów dowiedział się, że Smithson, który wszystko, a nawet tajemnice kupował i sprzedawał, chciał nam za 200 funtów udzielić jakiejś ważnej wiadomości, otruł go więc przy ostatniem spotkaniu.

W zamku Miramare znajdziemy dalsze szczegóły tej sprawy.

Po tych słowach Szerlok Holmes skinął na Harrego i obaj wyszli z mieszkania.

Snatterboks zaś wielkimi literami zapisał w notesie: „Zamek Miramare“.

ROZDZIAŁ III.

Zamach nad Tamizą.

Zamek Juno leżał nad samym brzegiem Tamizy, na dość znacznem wzniesieniu. Wybudowano go przynajmniej przed stu laty. Z biegiem czasu często odnawiano budowlę, zamieniając zamek w końcu w nowoczesną rezydencyę pańską.

Zamek był zupełnie odosobniony. Najbliższe miasteczko oddalone było o siedm godzin drogi. Jedynym znakiem życia w tej odludnej miejscowości było kilka chat rybackich na wybrzeżu i mała wioska, w której około trzydzieści rodzin rybackich pędziło życie.

Szerlok Holmes i Harry Takson już zdaleka spostrzegli na bramie zamku białą tablicę; zbliżywszy się, przeczytali:

„Zamek wraz z przyległościami do sprzedania. Zarząd dóbr lorda Seymour“.

— Mistrzu, zdaje się, że jesteśmy na dobrej drodze — zawołał Harry. — Prawdopodobnie lord Seymour jest autorem tych listów miłosnych, któreśmy znaleźli u Smithsona. Teraz zaś, jak się zdaje, zwąchał pismo nosem i drapnął w świat.

Wielki detektyw nic na to nie odpowiedział, tylko pociągnął za dzwonek, pod którym znajdowała się tabliczka z napisem: do burgrabiego.

Po chwili brama się otworzyła i na progu ukazał się starzec o typowem lokajskiem obliczu.

— Czem mogę służyć panu?

— Chciałbym obejrzeć zamek, gdyż mam zamiar go kupić — odpowiedział Szerlok Holmes.

Kasztelan uśmiechnął się.

— Jesteś pan już drugim amatorem. Przed godziną był tu już jakiś pan i ma jeszcze raz tu przybyć. Ten oglądnął już dokładnie cały zamek.

— Kto to był ten pan?

— Tego nie mogę panu powiedzieć, nie wymienił mi swego nazwiska.

Trzej mężczyźni weszli do wnętrza. Środkowa część zamku miała charakter średniowieczny, podczas gdy oba skrzydła nosiły wybitne piętno czasów nowszych. W komnatach nagromadzone były najrozmaitsze przedmioty, antyki, dzieła sztuki, pochodzące z różnych wieków, które lord Seymour w swoich podróżach po Chinach, Japonii i innych krajach poskupywał.

— Jaka cena sprzedaży?

— Cena jest wyjątkowa, lord bowiem napisał niedawno, że chce, aby zamek pod każdym warunkiem sprzedano.

— Masz pan ten list?

— Nie! Ja się tem nie zajmuję. Bliższych szczegółów może panu udzielić adwokat lorda. Cena sprzedaży wynosi 20.000 funtów; jest to śmiesznie mała cena; zamek ten bowiem wart przeszło 50.000.

— Czy lord tę sumę oznaczył?

— Tak! Ma on swoje dziwne upodobania.

W tej chwili zabrzmiał dzwonek u bramy. Burgrabia pospieszył na dół, aby otworzyć bramę, i wrócił wkrótce w towarzystwie wysokiego, atletycznie zbudowanego mężczyzny, który wyglądał na Amerykanina. Niezwykle szerokie barki, amerykański krój surduta w połączeniu z gładko wygoloną twarzą, nadawały przybyszowi typowy wygląd Jankesa. Nieznajomy bystrem okiem zmierzył

detektywów, skłonił się jednak grzecznie i akcentem amerykańskim zapytał:

— Panowie także zamyślacie kupić ten zamek?

— Tak.

— W takim razie przychodzicie panowie zapóźno. Porozumiałem się z notaryuszem Sheffield w Londynie, który zajmuje się tą sprawą. Jestem zdecydowany na kupno tego zamku.

— Zawarłeś pan już kontrakt?

— Nie jeszcze!

— No to dzisiaj jeszcze zatelegrafuję do notaryusza, że daję 25.000 funtów. Sądzę, że jest na tyle kupcem, iż zrozumie, że korzystniej będzie dla jego klienta i dla niego samego, wziąć o 5.000 funtów więcej.

Nieznajomy zmarszczył się gniewnie.

— O sir, jeżeli tak, to ja dam 26.000 funtów za zamek.

— W takim razie jestem zmuszony ofiarować 30.000 funtów.

Wielki detektyw patrzał zimno i spokojnie na nieznajomego, który z trudnością hamował swój gniew.

— Sądzę, że będę mógł dać 35.000 funtów — rzekł nieznajomy, patrząc w ziemię, jakby namyślał się, czy może taką sumę poświęcić.

— To ja dam 40.000 funtów — odpowiedział wielki detektyw.

Nieznajomy zaklął głośno.

— Do kroćset dyabłów! Daję 42.000 funtów.

— A ja 45.000! Harry napisz telegram i zanieś na najbliższą stacyę.

Suma 45.000 funtów była widocznie dla nienieznajomego za wielką.

— No, to kupuj pan sobie ten dom. Da się to panu we znaki — rzekł, uśmiechając się szatańsko.

Holmes spojrzał pytająco na burgrabię.

Ten wzruszył ramionami.

— Nic panu nie opowiadano? Od czasu, jak mój lord zniknął, ukazuje się duch w tym zamku, nie zrobił mi jednak nic złego. Zapewne jakaś nieszczęśliwa dusza, nie mogąca znaleźć spokoju, obrała sobie ten zamek za siedzibę.

— Co się mnie tyczy, to zostawię tę biedną duszę w spokoju — rzekł Holmes — spodziewam się, że tak samo ona nie będzie mi przeszkadzać; mam dobry sen i duchów się nie boję. Za parę więc dni będę panem zamku.

— Czy mogę pana prosić na flaszkę wina?— zwrócił się do nieznajomego. — Mamy dwie godziny drogi do stacyi, pozatem chcę poczekać na przyjaciela, który poszedł nadać depeszę do Londynu.

— Allright! zgoda! — odpowiedział nieznajomy.

Po tych słowach, obaj mężczyźni opuścili zamek i za małą chwilę znaleźli się w gospodzie, jedynej, jaka istniała w osadzie rybackiej.

Szerlok Holmes zażądał wina. Nieznajomy poczęstował go cygarem.

Wielki detektyw zapalił.

— Znakomite — rzekł — skąd je pan sprowadzasz?

— Z Chin. Są one lekko zaprawione opium.

— Ach! palę czasami i takie, jednak nie tak mocne, jak te...

Ostatnie słowa wymówił wielki detektyw trochę bełkotliwie. Ręka opadła mu bezwładnie na krzesło i wkrótce wpadł w głęboki twardy sen.

Po dwóch godzinach detektyw zbudził się, w międzyczasie powrócił Harry Takson.

— Lekkie zasłabnięcie — tłómaczył mu Holmes. — Ale już przeszło. Przeklęty łajdak ze swoimi cygarami z opium. Mogłem być trochę ostrożniejszy.

— Spotkałem go na drodze, mistrzu. Gnał, jakby go dyabli ścigali.

Szerlok Holmes chwycił się nagle za kieszeń; portfel zniknął.

— Ach, widzisz go, to on taki? No, ale nie wiele zabrał, 100 funtów... ale... do kroćset! to fatalne.

— Co mistrzu?

— W portfelu było kilka moich biletów wizytowych. Chciał się przekonać, kto ja jestem. Teraz wie, kogo ma przed sobą. Walka może się rozpocząć.

— Tak bardzo dotknęła cię ta kradzież, mistrzu?

— Kradzież? Nie domyśliłeś się jeszcze, że ten człowiek ma na sumieniu dwie zbrodnie.

— Stało się jednak, a teraz pojedziemy do Londynu i załatwimy interes z notaryuszem.

W dwa dni po opisanych zajściach, Szerlok Holmes przybył z Harrym ponownie do zamku i objął go w posiadanie.

Po południu obaj detektywi wyszli na spacer. Holmes pokazał Harremu list lorda Seymour,

wysłany do notaryusza z poleceniem sprzedaży zamku, który wielki detektyw zabrał od prawnika.

Harry Takson przeczytał szybko.

— Zdaje mi się, że już raz widziałem podobne pismo; zresztą notaryusz musi znać pismo lorda.

— Naturalnie! Pismo to jest doskonale naśladowane, mamy jednak kilka charakterystycznych znaków, podobnych do pisma na listach miłosnych, jakie otrzymywał mr. Smithson.

— Do dyabła! — zaklął Harry. — Więc ten tajemniczy palacz opium, jest identyczny z rabusiem kościołów, który od kilku miesięcy wodzi za nos całą policyę londyńską?

— Mógłbym się o to założyć. Jestem również pewny, że to on otruł Smithsona. Jest więc potrójnym mordercą, nie biorąc w rachubę rabunków. Przypuszczam, że z kradzieży tych uzyskał już z 20.000 funtów. Za tę sumę chciał on kupić zamek Juno i dlatego polecił w imieniu lorda jego adwokatowi wystawić zamek na sprzedaż, za tę śmiesznie małą cenę.

ROZDZIAŁ IV.

Upiory-rywale.

Już zapadł wieczór, gdy Szerlok Holmes wraz z Harrym Taksonem powrócili do zamku. Kasztelan przygotował dla swego nowego pana, lorda Ratchliff — tak się bowiem nazwał teraz Holmes — i dla jego przyjaciela, sypialnię i usunął się w swoje zacisze.

— Harry, postaraj mi się o filiżankę dobrej herbaty — rzekł Szerlok Holmes, rozciągając się swobodnie na sofie. — Zapalę tymczasem moją fajkę. Co do niej jestem przynajmniej pewnym, iż nie pozbawi mię przytomności.

Wkrótce syk kipiącego samowaru dał się słyszeć, a pokój wypełniła gęsta niebieska mgła dymu, jakim wielki detektyw zasnuł siedzibę lorda Seymoura ze swej fajki.

Czas upływał zwolna. Harry przeciągał się i ziewał, gdyż był znużony, Holmes udawał jednak, że tego nie spostrzega.

— Harry, nie mógłbyś mi zrobić pewnej przyjemności?

— Wszystko, co zechcesz, mistrzu!

— Spróbuj więc, o ile się da bez światła, podjąć małą przechadzkę po krużgankach i piwnicy zamku. Na wypadek, możesz mieć świecę przy sobie, byś gdzie głowy nie rozbił.

— Allright, mistrzu!

Młodzieniec wziął do kieszeni świecę i zapałki i opuścił pokój.

Zadanie, które detektyw polecił uczniowi swemu wykonać, nie było tak proste, jak się wydawało, a dla Harrego było ono i uciążliwe i nieprzyjemne, gdyż nie znał zupełnie rozkładu zamku i nie wiedział, co go w głębiach piwnic może spotkać.

Powoli przeto i ostrożnie schodził po omacku do piwnicy.

Skoro na ostatnim skręcie uchylił wielkie, skrzypiące drzwi od piwnicy, uderzył go zgniły zaduch i pleśń, jaka płynęła z czarnych czeluści podziemych sklepień. Dreszcz trwogi przeszedł młodzieńca i wstrzymał go na kilka sekund w miejscu. Wzruszywszy z rezygnacyą ramionami, pchnął drzwi na oścież i ruszył dalej na dół w nieznane głębie ciemności. Schody nie miały końca.

Dziwiło to wielce Harrego, jednak pomny uwag swego mistrza nie zapalał światła i szedł odważnie naprzód.

W końcu uczuł grunt pod nogami. Powietrze było tu jeszcze znacznie gorsze, a najmniejszy promyk światła nie wpadał nigdy do tych przestrzeni. W drodze potknął się już kilkakrotnie i omal, że nie upadł. Wkońcu, gdy z siłą uderzył o szeroki kamienny filar, uznał za roztropniejsze zapalić swoją świeczkę.

Fosforyczny płomyk zadrgał w ciemnościach, które ciążyły już Harremu ołowiem. W tej samej jednak chwili powiał silny wiatr — Harry słyszał, jak przeciąg zatrzasnął na górze wielkie drzwi, które on zostawił otworem — w tym samym momencie Harry, przerażony powiódł ręką do skroni i wydał lekki świst.

— Do kroćset dyabłów! — mruknął. — Czyż to kpiny mej wyobraźni? Czy nie jestem już, w stanie trzymać mych nerwów na wodzy? Nieto nie do pojęcia!

Widocznie było to złudzenie. Wcisnął się we wgłębienie przy filarze i zapalił zapałkę na nowo.

Znowu silny powiew — teraz jednak widział wyraźnie — niespełna trzy kroki przed nim stało coś nieokreślonego, nie do opisania, a jednak z przerażającą dokładnością wpijało się w jego zmysły. Było to coś białego, bezkształtnego, po-

siadało jednak w swej postaci objawy życia, gdyż poruszyło się — — i to wprost na niego. — —

— Do pioruna! — szepnął Harry — nie pozwolę się tumanić.

I zapalił po raz trzeci zapałkę, osłaniając ją równocześnie ręką od wiatru i wytężając oczy przed siebie.

Dwoje oczu, w których jamach mieniły się blaski ognia, spoglądało na niego. Spostrzegł, że stoi naprzeciw jakiejś postaci, która to maleje, to rośnie i pomału, jak polip ciągnie na niego.

W momencie tym owładnęła Harrym szalona i bezgraniczna wściekłość.

W chwili, gdy larwa zbliżyła się tak do niego, że mógł ją schwytać, w obłędnym szale rzucił się na zjawisko i opasał je ramionami. Upiór wysunął mu się jednak bez trudu z rąk.

Harry zauważył, iż zjawisko wyciągnęło ku niemu rękę i uczuł na skroni zimną lufę rewolweru. Instynktem wiedziony, błyskawicznie chwycił obu rękami ramię upioru — schwytana ręka i palce były zimne jak lód.

Jakkolwiek przerażenie odejmowało Harremu siły, ostatnim wysiłkiem trzymał schwytane ramię, wydając od czasu do czasu przeraźliwy gwizd sygnał porozumiewawczy z Holmesem, w razie jakiegoś niebezpieczeństwa.

Nagle zjawisko cofnęło się wstecz i zniknęło pozostawiając w kurczowo zaciśniętych dłoniach, Harrego swą rękę.

Młodzieniec zachwiał się — w tem jaskrawy promień świetlny przeszył ciemności. Wszystko to następowało po sobie tak migawkowo, że Harry spostrzegł jeszcze tajemnicze zjawisko, które nie miało czasu zniknąć. Jak biała plama mknął upiór ten w tylne krużganki — nagle, zawrócił w miejscu i z popłochem począł się cofać napowrót.

W tej chwili poczuł Harry, że włosy wstają mu na głowie; upiór miał swego rywala. Tą samą białą postać, ten sam posuwisty krok, posiadał upiór, który teraz wyrósł jak z pod ziemi. Zjawisko to bez szmeru wysunęło się z pod jednego z filarów i skierowało kroki swe wprost na Harrego.

Ten otrząsnął się już z pierwszego przestrachu i z trudem nawet hamował się, by nie parsknąć śmiechem, sytuacya bowiem stała się niezwykle komiczną. I tak upiór, który zostawił w rękach młodzieńca swe ramię, okazywał wobec nowego zjawiska niezwykły respekt i cofał się przed rywalem swym krok za krokiem wstecz.

Drugi upiór zbliżał się jednak coraz szybszemi krokami.

Harry Takson, w którego stronę oba zjawiska zmierzały, wysunął się nagle z za słupa i stanąwszy z rozpostartemi rękoma przed zjawiskiem, z którym miał tak niemiłe spotkanie, zawołał:

— Stój! Ani kroku naprzód!

Rozkaz ten wywołał wielkie zadowolenie u drugiego upiora, który kiwał dziękczynnie głową.

W najbliższym momencie musiało nastąpić starcie.

Wtem wydał Harry' dziki okrzyk, ten nie pochodził tym razem z przerażenia, lecz wyrażał bezgraniczne zdumienie.

W piwnicy ukazało się trzecie zjawisko.

Tego było już i i dla Harrego za wiele. Siadł na ziemi i czekał, co się stanie.

Drugi duch objawił równe wobec tego faktu zaniepokojenie i stanął w miejscu. Na pierwszym upiorze, pojawienie się trzeciej mary, wywarło jeszcze gwałtowniejsze wrażenie, niż gdy się zetknął z pierwszym rywalem. Jednym skokiem przesadził, siedzącego na ziemi Harrego i z szybkością godną zaiste ducha znikł w oddali.

Drugi upiór, na widok tej ucieczki, wydał pomruk, jakby przekleństwo. Nie było czasu na zajmowanie się zbiegłym upiorem, gdyż trzeci duch z groźnym ruchem, nie pozostawiającym w wątpliwości wrogich jego zamiarów, zwrócił się przeciw drugiemu upiorowi.

Zanim Harry mógł pojąć, co zaszło, trzecia mara rzuciła się na pozostałego upiora i wymierzyła mu silny policzek.

Napadnięty upiór wyprostował się w całej swej postaci, i z taką furyą ugodził napastnika pięścią pod brodę, że ten, jak piłka zatoczył łuk w powietrzu i jak biały zwój łachmanów, runął pod nogi Harrego.

— Au! — rozległ się jęk na ziemi i poturbowany począł z trudnością podnosić się i prostować potłuczone członki. Po chwili stanął przed Harrym i spoglądnąwszy nań pustemi jamami ócz, zawył:

— To ty, żółtodzióbie? Czyż nie widzisz, że walczę z mordercą? Dlaczego nie pomagasz mi?

Harry, otwierając usta z podziwu, spostrzegł przed sobą inspektora Snatterboksa, który już zrzucił swą maskę.

W tej chwili zbliżył się i drugi upiór i rzekł w tonie, zdradzającym silne wzburzenie:

— Snatterboks, jeżeliś zasłużył kiedy, aby

cię powieszono, to teraz należało ci się to w zupełności!

Snatterboks na dźwięk głosu, omal nie upadł na ziemię. Spoglądając w oblicze zjawiska, zawołał:

— Szerlok Holmes!

— Gdybyś pan nie wtrącił niepotrzebnie nosa w tę sprawę, to już mielibyśmy ptaszka w swych rękach i nie zdołałby nam umknąć znowu przez jakąś dziurę. Fatalny człowiecze, zawsze jawisz się w niestosowną porę.

— Mr. Holmes — odparł z godnością — gdyby panu nie była przyszła przeklęta myśl udawania ducha, to byłbym z pewnością ujął złoczyńcę. Ale naturalnie! Pan zawsze wchodzisz mi w drogę i zostaję wystrychnięty na dudka. A przedewszystkiem — tu ujął się za brodę — nawet, gdybym był zbrodniarzem, mr. Holmes, było to przecież barbarzyństwem bić mię tak pod brodę.

Szerlok Holmes wzruszył ramionami.

— Rzeczywiście smutna pomyłka – na drugi raz, gdy będę zamierzał coś przeprowadzić, to każę pana policyjnie strzedz, abyś mi znowu nie wlazł w drogę.

— A ja zadenuncyuję pana, aby go tak długo policya w areszcie trzymała, aż ujmę zbrodniarza gdyż jak tylko pan jesteś na wolności, to złowisz mi go przed nosem. W ten sposób nigdy nie mogę okazać światu mych niezwykłych zdolności.

Mania wielkości inspektora wprowadziła Szerloka Holmesa w dobry humor. Wziąwszy Snatterboksa pod ramię, prowadził go zwolna po schodach. Harry postępował za nimi.

W chwilę potem. wszyscy trzej detektywi znaleźli się w pokoju Holmesa.

Na twarzy Snatterboksa widniał obrzęk, ślad ręki wielkiego detektywa. Wywarło to ze strony Harrego uszczypliwe uwagi.

— Mr. Holmes — zawołał atakowany — jeśli guz nie zejdzie mi z twarzy, to pan zapłacisz odszkodowanie.

Allright! Ale pokaż no Harry, co tam kryjesz w rękach pod stołem?

— Harry Takson położył na stole rękę z całym ramieniem.

Snatterboks z głośnym okrzykiem odskoczył od stołu.

— Ręka trupa! — zawołał, a zniżywszy głos, zwrócił się do Holmesa:

— Ech, przecież to chyba nie był prawdziwy upiór?

— Bądź pan o to spokojny — odparł detektyw. Wziął oderwaną rękę i potrzymał chwilę nad płomieniem lampy. W tej samej chwili ręka poczęła się topić, a przyjemna woń wosku napełniła pokój.

— Wyrafinowany rzezimieszek — mruknął Holmes, a zwracając się do Snatterboksa, rzekł:

— Daję panu do wyboru, albo zamknę pana w najgłębszej norze zamku, albo złożysz mi pan uroczyste przyrzeczenie, że palcem nie ruszysz bez mego pozwolenia.

— Ależ to pozbawienie osobistej wolności — krzyknął Snatterboks. — Zamykać mnie, inspektora i przedstawiciela angielskiej policyi?

— Dla mnie jesteś pan tylko upiorem, schwytanym w moim zamku, wolno mi tedy z panem uczynić, co mi się żywnie podoba.

— Już pojmuję, pan zamierzasz ująć zbrodniarza, a ja znowu w Scottland Yard otrzymam porządnego nosa.

— Ale kogóż pan właściwie poszukuje, mr. Holmes?

— Ścigam zbrodniarza, który zamordował osoby, znalezione w pływającej trumnie.

— Allright! Podzielmy się naszą pracą mistrzu! Ja szukam człowieka, który zabił tę osobę, której krew zbryzgała suknie zamkniętych w trumnie.

– Dobrze. Zgadzam się na to.

Harry Takson przyłożył tymczasem na opuchniętą twarz Snatterboksa zimny okład.

W czasie tego opowiadał inspektor, w jaki sposób udało mu się tak nagle zjawić w zamku „Juno“. Bawił on właśnie na zamku „Miramare“, gdy w dziennikach ukazała się notatka o sprzedaży zamku Juno. Nowonabywcą miał być lord Ratchliff. Wyrzucony sromotnie przez właściciela Miramare, gdy temu odkrył cel swego przybycia, wrócił Snatterboks do Londynu. Tu przekonawszy się, iż lorda Ratliff niema w spisach szlachty, nabrał przekonania, że pod tem nazwiskiem kryje się Holmes. Natychmiast ruszył tedy do zamku Juno i w osadzie rybackiej pod zamkiem informował się o stosunkach zamkowych. Rybacy powiadomili go przedewszystkiem, że w zamku straszy.

To było dla inspektora więcej niż potrzebował, Podejrzywając, iż w zamku pod postacią upiora, kryje się zbrodniarz, na którego tropie jest już wielki detektyw, postanowił jakiem tajemnem wej-

ściem dostać się do zamku i schwytać złoczyńcę w jego własne sidła — w przebraniu upiora.

Obchodząc mury zamku, odkrył w końcu dziurę, którą dostał się do piwnicy.

Tak przybył właśnie na czas, by do całego szeregu dawniejszych swych głupstw, dodać jeszcze jedno.

ROZDZIAŁ V.

Rozwiązanie zagadki.

Na drugi dzień Holmes wraz z swym uczniem i inspektorem, przeszukali zamek od góry do dołu. Szczególnie wytężające badania prowadzili w piwnicy.

— Tu — mówił Szerlok Holmes — musi stanowczo być ukrytą jakaś tajemnica, kompromitująca nędznika. Miałem to przekonanie, kupując zamek.

Mówiąc to, pracował wielki detektyw bez przerwy. Przez chwilę zdawało się Harremu, że Holmes znalazł coś raz na ziemi, gdyż podniósł kilka kamieni, zasłaniających jakiś otwór, natychmiast jednak dziurę napowrót przykrył i rozpoczął badanie ścian.

Dopiero wieczorem, około godziny szóstej odkrył wielki detektyw, niszę w murze, a w niej małą zamkniętą skrzyneczkę. Po wyłamaniu wieka, wysypały się z kasetki pożółkłe listy, każdy z osobna owinięty w bibułę.

Z nietajoną radością wracał Holmes ze szkatułką pod pachą do swego pokoju. Harry szedł za nim.

W pokoju na stole stał Snatterboks i wydawał okrzyki radości.

— Mam dowody — wołał — że nędznik ten zamordował i czwartą osobę. Osoba ta była w zamku i jestem pewny, że znajdziemy jej ciało.

— Leży ono na dole, pod kilku kamieniami — mruknął niedbale Holmes — Ale cóż pan takiego odkryłeś?

Snatterboks przyniósł kilka części ubrania, spodnie, kamizelkę i surdut, wszystko wykonane z najlepszej materyi. Na ubraniu tem widoczne były słabe ślady krwi. Ten, który ubranie to nosił, musiał być mały, lecz zgrabnie zbudowany.

Holmes kazał zawołać burgrabiego.

— Poznajesz pan to ubranie? — zapytał przybyłego.

— Tak jest, wasza lordowska mości! Lord Seymur nosił je często.

— Wobec tego, jasnem jest, że lord Seymur został zamordowany — krzyknął Snatterboks.

Szerlok Holmes nie odrzekł nic, lecz porządkował znalezione listy.

Po chwili dopiero rzekł: Jesteś pan szalony!

Wywiązała się żywa utarcza słowna i Snatterboks usiłował dowieść logiki swych poglądów i wniosków.

— Czyż nie powiedziałeś mi pan przed chwilą, że zwłoki leżą w piwnicy?

— Well! Pójdźmy — odparł detektyw — zaraz je panu pokażę.

Wszyscy trzej udali się do piwnicy. Tu usunął Holmes z ziemi kilka kamieni, zasłaniających płytki dół. Była to tasama dziura, która już poprzednio zwróciła uwagę detektywa. Pochylili się nad odsłoniętym dołem i zobaczyli w głębi zabitego psa.

— To mają być te zwłoki? — zapytał oniemiały Snatterboks.

— Powiedziałem już panu, że tak.

— A ślady krwi?

— Te, jak stwierdziłem chemicznie, pochodziły z krwi zwierzęcej, nie ludzkiej. Policya nie zwróciła, jak zwykle, na ten uboczny szczegół uwagi.

Powrócili do mieszkania i przywołano ponownie kasztelana. Ten objaśnił, że lord posiadał psa, zabrał go jednak ze sobą.

— Jeżeli jednak pies został zabity, to niewątpliwie zginął i jego pan — zawołał Snatterboks. — Z pewnością przywiązane zwierzę opłaciło wierność swą śmiercią, broniąc lorda.

— W tym punkcie zgadzam się z panem zupełnie — rzekł Holmes, przeszukując równocześnie kieszenie, znalezionego przez inspektora ubrania.

Z pewnej kieszeni dobył detektyw jakiś świstek, na którym nagryzmolone było: „Rybak Tom Smith potwierdza, że otrzymał od Lady Lionel pożyczkę 50 funtów".

Snatterboks chwycił się za głowę: Jak dalej tak pójdzie, to niedługo całe hrabstwo będzie w aferę tę wmieszane. Któż jest lady Lionel?

— Również jedna z ofiar zbrodniarza.

Kasztelan, zapytany o lady Lionel, podał, że była przyjaciółką lorda i miała zwyczaj nieraz po kilka tygodni w zamku przebywać.

— Lady mieszkała tutaj jednak tylko w tym czasie, gdy lord był nieobecny? — zapytał Holmes, ku zdumieniu swych towarzyszy.

— Rzeczywiście, to prawda. Uderzyło mię to niejednokrotnie.

— Czy nie przypominacie sobie, że lady była nieco do lorda podobną?

Stary sługa zamyślił się chwilę.

— Zaiste, to prawda. Oboje mieli delikatne, arystokratyczne rysy. Nie zważałem na to, dopiero pan odświeżasz w mej pamięci tę okoliczność.

Na tem skończyło się przesłuchanie kasztelana.

— Mógłbym dać głowę na to, że lady Lionel i lord Seymour, to jedna osoba — rzekł Holmes, przeglądając znalezione w piwnicy listy. — Lord Seymour, lub lepiej lady Lionel — gdyż faktycznie lord ten był kobietą — miała zaiste dziwne usposobienia. Wiele okoliczności pewnie dopiero później wyjdzie na jaw, lecz już teraz wiem, że kobieta ta prowadziła podwójne życie, raz jako mężczyzna, to znowu jako kobieta. Wobec tego pojmuję, dlaczego nasze fotografie w dziennikach nie dały żadnych rezultatów. Jestem dziś przekonany, że kobieta w trumnie, to lady Lionel i lord Symour w jednej osobie. Morderca jej, ten sam, któregośmy ubiegłej nocy napotkali w piwnicy, wiedział dobrze, że jestem na właściwym tropie i pragnął unieść te listy, zdradzające tajemnicę zbrodni.

— Czy to zupełnie pewne?

— Tak jest. Wszystkie te listy pochodzą od niego. Noszą one tę samą pieczątkę, mają ten sam charakter pisma i tem pismem, jakkolwiek nieco zmienionem, napisano również list do notaryusza Sheffielda w Londynie. Pismo to identyczne jest zarazem z tymi listami miłosnymi, na które pan w swoim czasie w Londynie wpadłeś, inspektorze. Treść listów jest w zasadzie ta sama. Dowiadujemy się z nich, że pewien John Tompson — tak się zacny ten młodzian podpisuje — szaleje z miłości do lady. Listy, zbierane skrzętnie przez lady, zawierają cały romans. Słuchajcie, a w krótkich słowach podam wam treść całej historyi, zaczerpniętą z listów.

Snatterboks usiadł. Detektyw zaczął opowiadanie:

— Lady Lionel była wdową i pochodziła z obcych stron. Tu była obcą. Przez związek z rodziną Lionel, zyskała olbrzymi majątek po mężu. Używanie tego majątku było jej jednak zastrzeżone tylko do tego czasu, dopóki nie poślubi innego mężczyzny. Tak mniej więcej opiewał testament jej pierwszego małżonka. Jakkolwiek warunek ten był dla młodej kobiety dosyć uciążliwy, musiała go przestrzegać, nie chcąc napowrót popaść w nędzę i ubóstwo. Naturalnie, że nie brak było ludzi. którzy mieli poważny interes w tem, aby wdowie dowieść jakiego błędu i przez to posiąść majątek zmarłego lorda.

To spowodowało, że lady, kryjąc się przed oczyma swych wrogów, przybierała raz postać mężczyzny, to znowu kobiety. Jako mężczyzna, mogła żyć swobodnie na tym zamku, natura kobieca nie dozwalala jej jednak zbyt długo pozostawać w tem przeobrażeniu i wówczas wracała do stroju kobiecego. Gdy naiwny burgrabia myślał, że jego pan bawi w Afryce, młoda wdowa żyła spokojnie w swej wdowiej rezydencyi w Szkocyi.

— Ach! — zawołał Snatterboks — co za genialna kobieta!

John Tompson był towarzyszem zabawy w panieństwie lady. Ponieważ sam jednak był ubogi, jak ona, lady zaślubiła inego, wbrew jego rachubom. Tompson, pełen nienawiści i zawziętości przeciw ukochanej, opuścił Szkocyę i zanurzywszy się w bagnie Londynu, stał się złodziejem kościelnym i świętokradcą. Uchodził on długo bezkarnie poszukiwaniom policyi.

— John Tompson pozostał tedy, mimo wysiłków policyi, nie wyśledzony. Znalazł sobie towarzysza w osobie mr. Smithsona, który wszystkie zrabowane przedmioty sprzedawał. Smithson nie ograniczał naturalnie interesów swych tylko na Londyn. Podczas gdy w Londynie, trzymał dla pozoru mieszkanie, główna siedziba interesu znajdowała się poza granicami Anglii. Jestem pewien, że Smithson operował handlem swym w kilkunastu miastach innych krajów Europy i pojawiał się co pewien czas w innej stronie. To było też powodem, że policyi tak rzadko udawało się wpaść na ślad skradzionych przedmiotów. Tylko te rzeczy, które wyjątkowo Smithsonowi podobały się, zostawiał on sobie w mieszkaniu w Londynie.

Tompson uzbierał sobie wreszcie mająteczek. Prowadził dwojakie życie: Z jednej strony obracał się w najlepszych sferach towarzystwa londyńskiego, z drugiej strony był zwykłym złodziejem i przebywał w najpodlejszych knajpach. Przypominacie sobie śmierć Smithsona. Tompson otruł go w knajpie w Poplar, gdy się przekonał, że ten chce go zdradzić.

— Jak się to wspaniale rozwiązuje — zawołał Harry. — Więc Tompson i lady Lionel spotkali się znowu?

— Tak. Lady Lionel przybyła jako lord Seymour do Londynu. Tompson poznał ją odrazu i zbliżył się do niej. Nie był on już teraz ubogim.

Lady Lionel przyjmowała go od czasu do czasu, lecz poza zamkiem, gdy występowała w roli mężczyzny. Nie żywiła ona już dla niego żadnego uczucia i chciała się go pozbyć, to się jej jednak nie udawało. Im bardziej starała się go usunąć, tem listy jego były namiętniejsze i groźniejsze, Listy te mam w rękach i ich to szukał Tompson. Wiedział bowiem dobrze. że gdy te listy wpadną w moje ręce, to tajemnica, okrywająca tych dwoje zmarłych, przestanie być tajemnicą, że nie będzie mi go trudno wyśledzić. Wiedział, że listy te są dowodem, iż to on jest mordercą lady Lioneł, którą zabił w uniesieniu z zazdrości.

— Z zazdrości? – zapytał Snatterboks.

— Tak. Przebierania się lady Lionel miały swój cel. Musiała kogoś skrycie kochać, w przeciwnym bowiem razie mogła spokojnie, we właściwej roli przebywać w Londynie, czego jej nikt nie mógł zabronić.

W listach tych pisze Tompson o jakimś trzecim, którego przy najbliższej sposobności usunie; posłuchajcie co on pisze: „Tak, zabiję go i nie znajdzie się nikt w Londynie. ktoby za nim szukał. Niema nikogo, ktoby go rozpoznał, gdyby go znaleziono, niema on bowiem żadnych krewnych ani przyjaciół, a wiedzą o nim tylko jego towarzysze na morzu, nim zaś ci wrócą, sprawa pójdzie w zapomnienie.

Pani mi piszesz, że będziesz nad nim czuwać, że wszelkimi środkami przeszkodzisz zbrodni? Dobrze! spróbój pani. Ja pani dziś mówię, że dni tego młodzieńca są policzone, jeżeli pani nie opamięta się i odrzuci moją dawną miłość“.

Szerlok Holmes ciągnął dalej swoje opowiadanie:

— Wreszcie nadeszła katastrofa. Lady, która jako lord Seymour, powiedziała burgrabiemu, że wyjeżdża w podróż, bawiła na zamku w roli przyjaciółki lorda. Przypuszczam, że krytycznej nocy lady oczekiwała Tompsona. Nocy tej lady ubraną była w suknie męzkie, suknie zaś kobiece przygotowała sobie na dzień następny.

Obawiając się o swoje życie zawezwała lady Lionel tego trzeciego, którego kochała, aby w razie potrzeby mógł jej przyjść z pomocą.

Scena, jaka się tu owej nocy rozegrała, pozostanie dla nas tajemnicą. Jak się domyślam na podstawie znanych nam szczegółów, Tompson udusił poprostu lady. Ten „trzeci“ był widocznie za daleko ukryty i nie usłyszał jęków lady, której na pomoc pospieszył jej mały piesek. Tompson skończywszy z lady, wyjął rewolwer i zastrzelił psa, którego krew zbryzgała suknię lady, leżącą obok i ubranie męzkie, jakie miała na sobie. Na huk strzału, którego kasztelan nie słyszał, bo za daleko mieszkał, wpadł ów „trzeci“ do pokoju; między obu mężczyznami wywiązała się walka na śmierć i życie. Tompson, posiadając olbrzymią siłę zwyciężył, udusiwszy również swego przeciwnika. Wtedy postanowił oba ciała usunąć. Gdyby lady pozostała w ubraniu męskiem, to policya mogłaby łatwo wpaść na ślad — wiodący do zamku Juno. Tompson przebrał ją więc w jej białą suknię, na jej czarne włosy nałożył rudą perukę, a młodzieńcowi ogolił głowę. Pomiędzy zwłoki włożył kielich, skradziony w kościele St. Saviour. Myślał, że jeżeliby zwłoki zostały przypadkiem odkryte, to młodzieńca tego będą uważać za złodzieja kościelnego. Ogółem morderca chciał przez ten kielich utrudnić śledztwo.

Morderca wyniósł następnie zwłoki obojga pomordowanych prawdopodobnie drogą przez piwnicę nad Tamizę. Tu nad brzegiem stał mały domek, w którym lady składała suknie, idąc do kąpieli. Do tego domku włożył morderca zwłoki nieszczęśliwych ofiar, spoiwszy je ze sobą w uścisku, zaryglował drzwi i zepchnął skrzynię do rzeki. Zaimprowizowana trumna jednak zamiast popłynąć do morza, jak się tego spodziewał morderca, została wyrzuconą na brzeg.

Harry Takson i Snatterboks milczeli zamyśleni, Każda hypoteza wielkiego delektywa znajdowała swe potwierdzenie.

— Teraz jest już jasnem -- rzekł Harry — w jakim celu łotr ten napisał do notaryusza list, wzywając go, jako lord Seymour, do sprzedaży zamku za tę śmieszną cenę. Chciał on zatrzeć tutaj wszelkie ślady swej zbrodni.

— Masz słuszność. Prawdopodobnie usiłował on krytycznej nocy wydrzeć lady tajemnicę przechowania listów, widocznie jednak bez skutku.

Wiedziała ona, że przez listy te, w których bez osłonek przyznał się do swego występnego życia i złodziejskiego zawodu, czyniąc ją za swój upadek moralny onpowiedzialną — trzyma go w swoich rękach, w razie, gdyby usiłował zadenuncyować ją przed rodziną zmarłego męża. Oceniając wielką

doniosłość tych listów, ukryła je w piwnicy. On również przeczuwał, że każdej chwili mogła go zdemaskować jako długo poszukiwanego rabusia kościołów.

Przypuszczam, że lady w krytycznej chwili dała mordercy jakiś znak, wskazujący miejsce skrytki, lecz bez bliższego określenia. Dlatego pewnie Tompson czynił już od kilku dni takie poszukiwania w piwnicy, przybrawszy dla bezpieczeństwa postać upiora. Jestem pewny, że łotr zjawi się jeszcze raz w piwnicy, lecz uzbrojony od stóp do głów. My jednak unikniemy krwawego spotkania. Gdy tylko nabierzemy pewności, że dzisiejszej nocy zbrodniarz znajduje się w piwnicach zamkowych, udamy się na zewnątrz zamku i urządzimy na łotra zasadzkę przy tajnem wejściu. Gdy będzie opuszczał zamek, położymy wreszcie koniec tej aferze.

— Jeszcze jedno — wtrącił Harry — czy nie będzie możliwem stwierdzenie identyczności zamordowanego mężczyzny, mistrzu?

Szerlok Holmes zamiast wprost odpowiedzieć, zwrócił się do wchodzącego właśnie kasztelana.

— Czy nie stał tu na kotwicy przed kilku tygodniami jaki okręt?

Starzec zamyślił się.

— To pewnie o „Atlancie“ pan myśli. Zatrzymała się w istocie tutaj kilka dni dłużej niż zwykle. Jestto kupiecki okręt, kursujący regularnie między New Yorkiem a Londynem. Dla swej lekkości, może tak daleko wpływać w górę Tamizy.

— Tajemnica jest tedy wyjaśnioną — rzekł Holmes, zwracając się do Harrego i Snatterboksa. — Zamordowany był więc pewnie oficerem lub kapitanem tego statku i w zamku spotykał się tutaj ze swą ukochaną lady. Nic dziwnego, że nikt w Londynie nie poznał go z fotografii. Dopiero, gdy towarzysze jego wrócą z Nowego Yorku, będzie można mieć bliższe szczegóły, co do jego osoby. Nieszczęśliwy, gorzko odpokutował miłość swą do lady Lionel.

Szerlok Holmes wyciągnął zegarek.

— No, mamy jeszcze dużo czasu, Harry. Może zrobimy wycieczkę nad brzeg Tamizy.

— Allright, mistrzu!

— Ja muszę tu pozostać — rzekł Snatterboks. — Mam do pisania wielki raport do Scotland Yard.

ROZDZIAŁ VI.

Genialny pomysł inspektora.

Snatterboks pozostał sam w całym zamku. Koło godziny szóstej wieczorem gęsta mgła pokryła całą okolicę. Snatterboks czekał, aż Szerlok Holmes i jego uczeń dostatecznie się oddalą, aby nie mogli śledzić jego kroków.

— Szerlok Holmes złapie go — mówił chodząc po pokoju do siebie — a mnie dostanie się tylko od szefa ze Scotland Yard. We wszystkich dziennikach będzie widać znowu nazwisko tylko Szerloka Holmesa, a z inspektora Snatterboksa będą sobie kpić. Co ja mam robić? Jeśli mu się będę opierał, to on dotrzyma swego słowa i zamknie mnie. Co robić?

Snatterboks stał w oknie i rozmyślał. Nagle przyskoczył do stołu, usiadł i zaczął pisać na świstku papieru:

„Jesteś pan poznany. Ratuj się pan, ale nie zwykłą drogą. W odległości pół mili od zamku, w zatoce, czeka na pana łódź motorowa. Wsiadaj pan do niej i uciekaj. Przyjaciel, który również rabował kościoły“.

Z tą kartką pobiegł Snatterboks do piwnicy i położył ją na tem samem miejscu, gdzie Szerlok Holmes znalazł listy. Kartka ta musiała odrazu wpaść w oku złoczyńcy, gdyby rzeczywiście się zjawił. Snatterboks zatarł ręce z radości.

— Zwyciężyłem cię teraz — cieszył się, idąc na górę — wielki detektywie. Nie taka to łatwa gra z inspektorem Snatterboksem.

Zadowolony z siebie pospieszył do wioski i wynajął łódź motorową, którą kazał odwieść na oznaczone przez siebie miejsce.

Właściciel łodzi pouczył go dokładnie o sposobie kierowania nią.

Poczyniwszy te przygotowania, Snatterboks wrócił do zamku i zaczął pisać raport. Przy tej robocie zastał go Szerlok Holmes i Harry Takson. Szerlok Holmes nie przeczuwał jakiego figla spłatał mu chytry inspektor.

Wszyscy trzej w milczeniu zjedli kolacyę. O godzinie dwunastej w nocy wielki detektyw podniósł się od stołu.

— Czas już — rzekł. — Chodźmy.

Harry opatrzył rewolwer. Obaj detektywi opuścili zamek i udali się do znanego sobie, tajemnego przejścia, prowadzącego pod zamkowy mur do piwnic.

Szerlok Holmes spostrzegł na ziemi zdeptaną gałązkę.

— Mamy go! Lis już w pułapce!

Tymczasem inspektor Snatterbox zniknął. Detektywi jednak nie mieli czasu myśleć o tem, gdyż całą uwagę musieli zwrócić na otwór, aby w chwili gdy złoczyńca będzie wychodził złapać go. Johna Tompsona nie można było lekceważyć. Szerlok Holmes wiedział dobrze, że zwycięstwo zależy od szybkości napadu. Napróżno jednak czekali godzinę, dwie, trzy — oczekiwany nie ukazał się. Po czterech godzinach daremnego oczekiwania, rzekł Holmes:

— Wracajmy!

Harry potarł kilka razy twarz ręką, co było u niego znakiem zdenerwowania i zawołał:

— Zdaje mi się, żeśmy spudłowali. Przysiągłbym, że ten przeklęty Snatterboks popełnił tu jakieś kolosalne głupstwo.

Szerlok Holmes położył się na ziemi i wpełznął do otworu, przed którym całą noc czatowali. Za nim pospieszył Harry Takson.

Wkrótce znaleźli się w piwnicy i wyszukali kryjówkę w której Szerlok Holmes znalazł kasetkę. Tu odrazu spostrzegli białą kartkę. Szerlok Holmes podniósł ją i przeczytawszy, podał Harremu. Ten ledwie rzucił okiem, wpadł w istny szał.

— Ubiję go, gdy go tylko złapię! — krzyczał z wściekłością.

— Na Boga! Harry! Nie prędko będziesz miał do tego sposobność. Musimy mu czemprędzej spieszyć na pomoc, aby głupstwa, jakie palnął, nie przepłacił swojem życiem.

Obaj detektywi zaczęli biedz szybko po schodach. Drzwi w piwnicy były przymknięte. W przedsionku widać było ślady stóp, a brama stała otworem.

— Ładniebyśmy byli tam czekali — zawołał wielki detektyw z humorem. — Gdyśmy jak psy wartowali, Tompson wyszedł sobie w najzwyczajniejszy sposób z zamku. Wyprzedził nas o trzy już godziny.

Detektywi jak wicher biegli brzegiem Tamizy i znaleźli wkrótce miejsce, oznaczone na kartce przez Snatterboksa. Ale łodzi już nie było. Bystre oko detektywa odkryło tylko kilka połamanych trzcin. To było wszystko.

— Ta połamana trzcina wskazuje nam kierunek, w którym odjechała łódź. Musimy się szybko postarać o taką samą łódź.

Nie tracąc czasu wrócili z pośpiechem do wioski. Niebo pokryło się chmurami. Gęsta mgła opadła na ziemię.

Za małą chwilę łódź, w której znajdował się wielki detektyw ze swoim uczniem, jak strzała pędziła z biegiem Tamizy.

Co się tymczasem działo ze Snatterboksem?

Upatrzywszy dogodną chwilę, opuścił Szerloka Holmesa i podążył na miejsce spotkania. Łódź znalazł na oznaczonem miejscu; usiadł więc na ławce i czekał. Po chwili dał się słyszeć w nadbrzeżnych zaroślach szmer i jakaś ciemna postać wślizgnęła się do łodzi.

Z po za chmur wychylił się księżyc. Snatterboks ujrzał w ręce przybyłego rewolwer.

— Kto tam?

— Dobry przyjaciel! — odpowiedział inspektor.

— Pan zostawiłeś tę kartkę w piwnicy?

— Yes.

— Po co?

— Osioł! Bo chcę pana uratować.

— Dlaczego chcesz mię pan ratować? Co za interes masz pan w tem?

— Czyż nie mówiłem panu, że sam jestem złodziejem kościelnym?

Nieznajomy przybliżył się. Snatterboks ujrzał przed sobą herkulesową postać o bladem obliczu i iskrzące się oczy. Jednak nie uląkł się. Z zupełnym spokojem patrzył w oczy śmierci, podniecała go bowiem ambicya. Wolał raczej zginąć, niż pozwolić na to, aby zasługa schwytania tego zbrodniarza spadła na Holmesa.

— Umiesz pan sterować? — zapytał nagle nieznajomy.

— Czuję się w wodzie jak ryba — odpowiedział rzeźwo Snatterboks.

— A więc jazda!

Snatterboks jednak nie ruszył się.

— Schowaj pan wprzód rewolwer.

John Tompson roześmiał się.

— No! Mogą nas gonić; jesteśmy zresztą dobrymi przyjaciółmi.

— Tak! Ale nie potrzebujesz pan trzymać lufy naprzeciw mnie.

— To przypadkiem. Jazda, mój chłopcze, albo jestem zgubiony.

— Schowaj wprzód rewolwer — odpowiedział Snatterboks zimno.

Nieznajomy silnym ruchem odepchnął łódź z brzegu i podsunąwszy Snatterboksowi rewolwer pod nos, zawołał:

— Jedź! Albo ci kulę w łeb wpakuję!

— Dokąd?

— Do Calais! Dopiero na francuskiej ziemi będę bezpieczny.

Snatterboksowi nie pozostawało nic innego, jak wypełnić rozkaz. Puścił więc motor i łódź jak strzała pruła fale Tamizy.

Snatterboks, który o kierowaniu łodzią miał jeszcze mniej pojęcia, niż o swoim zawodzie, sterował raz na prawo, drugi raz na lewo, zmieniając ciągle kierunek jazdy. Odległość przeto od morza niewiele się zmniejszała. Tymczasem z mgły wynurzył się okręt. Groziło niebezpieczeństwo zderzenia.

Tompson powziął nagle, zdaje się nowy plan.

— Do brzegu! — zawołał do Snatterboksa.

Tego pragnął i Snatterboks. W niespełna pięć minut łódź przybiła do brzegu, po blisko trzechgodzinnem, bezcelowem błąkaniu się po Tamizie. Z powodu gęstej mgły nie można się było zoryentować w miejscowości. W chwili gdy łódź przybijała do brzegu, Snatterboks wyjął szybko rewolwer z kieszeni i krzyknął:

— Ręce do góry, John Tompson! W imieniu prawa...

Nie zdołał jednak dokończyć. Łódź uderzyła gwałtownie o brzeg, a inspektor upadł na dno łodzi. Zanim się jednak zdołał podnieść, uczuł na swej szyi potężne ręce. Z piersi jego wydarł się potężny ryk, który byłby w stanie cały Londyn obudzić. Tompson podniósł go do góry i jak piłkę rzucił daleko na rzekę. — — —

— Słyszałeś mistrzu? — zawołał Harry, kierując nagle łódź na lewo. W okamgnieniu łódź przybiła do brzegu. Szerlok Holmes wyskoczył na ląd i wkrótce zniknął w mgle, biegnąc w tym samym kierunku, w którym skierował się John Tompson. Harry zaś rzucił się w fale Tamizy i dopłynął wkrótce do Snatterboksa, który bijąc rękoma i nogami wynurzył się w tej chwili na powierzchnię.

Harry złapał go lewą ręką za kark, a prawą wiosłując, dobił do brzegu. Snatterboks otrząsał się jak pudel.

— To się nam udało, co? — rzekł do Harrego.

W tej chwili usłyszeli z oddali przeraźliwy, niezwykły świst.

— To mistrz woła — krzyknął Harry i pobiegł szybko w stronę, z której dochodziło gwizdanie, a za nim Snatterboks i za parę minut spotkali się ze Szerlokiem Holmesem.

O kilka kroków przed nimi widać było jakąś zapadłą spelunkę. Ponad drzwiami wisiał brudny szyld z szumnym napisem: Salon Fata Morgana.

— Mamy go — mruknął Szerlok Holmes. — Knajpa nie ma drugiego wyjścia. Zachowujcie się cicho.

— Wejdę tam i pochwycę go — odezwał się na to Snatterboks.

— Jeżeli się pan ośmielisz jeden krok zrobić, to pana zwiążę, inspektorze!

— Co? jak? Chcesz pan wiązać królewskiego inspektora policyi ze Scottland Yardu?

— Nie pozwolę, abyś pan po raz drugi naraził się na śmierć, albo aby panu głowę rozbito.

— Mnie! Mam całą głowę.

— A przecież Harry wyciągnął pana z wody.

— A czy ja mu to kazałem? Płynąłem jak ryba, nagle uczepił mi się pański uczeń. Gdyby nie ja, byłby zginął. A szkoda byłoby tego dziecka.

Harry trząsł się z gniewu.

Tymczasem z knajpy zaczęły się wysuwać rozmaite indywidua, na których czole wypisaną była zbrodnia. Z oczu widać im było, że przed niczem się nie cofną.

— Nie możemy go przeoczyć — mówił Snatterboks. — Wiem dobrze jak wygląda. Ma na sobie eleganckie ubranie, brązową czapkę.

Szerlok Holmes nakazał mu ruchem ręki milczenie i ukrył się za płotem. Za jego przykładem obaj jego towarzysze. Z tego ukrycia wielki detektyw obserwował pilnie wychodzących z knajpy. (patrz na rycinę).

— Żaden z tych — mruczał Snatterboks — to także nie ten, ten również nie.

Wreszcie w karczmie zrobiło się cicho, światła pogasły. Szerlok Holmes gwizdnął przez zęby i wszyscy trzej weszli do knajpy. Właściciel szynku, także jakieś podejrzane indywiduum, wyszedł naprzeciw.

— Czem mogę służyć? — zapytał.

— Ukryłeś tu Johna Tompsona!

— Johna Tompsona? Nie znam takiego.

Snatterboks wysunął się naprzód.

— Człowieku, nazywam się Snatterboks. Jestem inspektorem ze Scottland Yard. Mów prawdę, bo inaczej, zapewniam cię, karczma będzie w przeciągu godziny zamknięta.

Pogróżka ta zrobiła na właściciela knajpy wrażenie, jednak w głosie jego czuć było prawdę, gdy mówił:

— Zapewniam panów, że nie mam pojęcia, kto jest John Tompson.

— Dobrze już — przerwał wielki detektyw— odpowiadaj: Przed kwadransem wszedł tu mężczyzna, elegancko ubrany, w brązowej czapce?

— Yes.

— A jednak nie wyszedł on z knajpy...

— O, to się pan grubo mylisz — odpowiedział Morgan, szydersko się uśmiechając. — To panowie szukacie, jak widzę Billa, Billa Kościelnego? O... — w głosie jego przebijało szyderstwo — ten już dawno wyszedł.

— Kłamiesz! — krzyknął Snatterboks.

— Proszę, przeszukajcie panowie cały dom. Bill robi tak zawsze. Przychodzi tu ubrany jak gentleman, a wychodzi w ubraniu marynarza, robotnika i t. p.

Szerlok Holmes coś mruknął i szybko wyszedł z knajpy. Harry podążył za nim.

Snatterboks rozpoczął zaś przeszukiwanie całego domu. Wszędzie zaglądnął, wszystko obejrzał, jednak nic nie znalazł. Tompsona nie było. Snatterboks wrócił więc do szynkowni i zawołał:

— Nie ma nic, mr. Holmes.

Cisza.

— Mr. Holmes!

Odpowiedzi nie było.

Inspektor wypadł jak kula na gościniec i wyrywając sobie włosy, krzyczał:

— Oszukał mię! Oszukał mię!

Szerlok Holmes i Harry biegli tymczasem szybko ku najbliższej stacyi automobilów.

— Wywiódł nas po raz drugi w pole — mówił Szerlok Holmes — domyślam się, kto to może być... ale wydaje mi się niemożliwem, aby człowiek mógł się tak zmienić — — to zbrodniarz na wielką skalę... szofer! — zawołał, wsiadając do automobilu — Scottland Yard!

W kwadrans później zatrzymał się automobil przed gmachem policyi.

— Czekaj — rzucił wielki detektyw Harremu — i zniknął w bramie. Wkrótce był z powrotem.

— Mieszka Regenstreet 87, II. piętro. Jazda!

Po półgodzinnej jeździe automobil zatrzymał się przed wskazanym domem.

— Czekaj tu! — krzyknął Szerlok Holmes do szofera i wraz z Harrym wszedł do sieni i zapukał do drzwi, na których przybita była tabliczka z napisem:

„John Tompson“.

Po małej chwili drzwi otworzyły się, na progu stanął służący.

— Czem mogę służyć, gentlemen?

— John Tompson w domu? — zapytał wielki detektyw.

— No, gentleman.

— On jest w domu.

— No, gentleman — odpowiedział z niecierpliwością służący i skrzywił się gniewnie.

Holmes wszedł do pokoju, a zanim Harry.

Mieszkanie Johna Tompsona było urządzone z przepychem.

— Prowadź nas do sypialni twego pana, rozkazał wielki detektyw.

— Dobrze — odpowiedział służący, otwierając drzwi. — Czy panom pilno?

— Tak!

— To ja zatelefonuję – i chciał wyjść. Drzwi jednak były zamknięte.

— Co to ma znaczyć? — zapytał gwałtownie.

— Zdejm perukę, Johnie Tompson! komedya skończona.

Zbrodniarz patrzał na Szerloka Holmesa, z którego twarzy przebijała pewność siebie. Szukał więc jakiejś drogi do ucieczki, gdy nagle spostrzegł w lustrze Harrego Taksona, który stał za nim z bronią gotową do strzału. Był zgubiony. Zdjął więc perukę, zmył z twarzy szminkę i zawołał:

— Allright! The play is over (Dobrze. Skończyła się gra) poczem bez oporu dał się kuć. Harry zarzucił mu płaszcz na ramiona. Za małą chwilę pędził automobil z trzema pasażerami na Scottland Yard.

Snatterboks, usłyszawszy turkot, wybiegł naprzeciw.

— Wiem już, gdzie on mieszka. Szybko... A kogo to pan wiezie?

— Johna Tompsona – odpowiedział zimno wielki detektyw, oddając długo poszukiwanego zbrodniarza policyantom. — A teraz do domu, zasłużyliśmy na spoczynek.

Snatterboks długo stał na ulicy, wreszcie machnąwszy ręką, poszedł do biura dyrektora policyi.

— Inspektor Snatterboks stawia się, celem złożenia raportu, w jaki sposób zdołał ująć mordercę i rabusia kościelnego Johna Tompsona.

KONIEC.

Następny tom 30 Dżentelmen-włamywacz.

ROZMAITOŚCI.

Heroizm straży pożarnej.

W Neapolu, z powodu lokalnych zamieszek cały komplet zawodowej straży pożarnej był temi dniami przez policyę internowany, t. zn. cała załoga siedziała w kasarni na klucz zamknięta, a klucze miała w swem przechowaniu policya.

Nagle w centrum miasta wybuchł groźny pożar. Palił się mianowicie olbrzymi dom handlowy Ascarelli, gdzie, nie licząc luksusowego urządzenia i kolosalnych zasobów gotówki, było złożone samego towaru za 12 milionów lirów.

Na wieść tą, niepomni koszarowego aresztu, pospieszyli dzielni strażacy zagrożonemu mieniu i życiu ludzkiemu — na pomoc. Jedni zeskakiwali z balkonów, inni za pomocą lin dostali się na podwórze.

Wszyscy bez wyjątku znaleźli się na miejscu katastrofy i tam rozpoczęli prawdziwie heroiczną walkę z rozszalałym żywiołem, który w przeciągu kilku godzin zdołali opanować.

Przy ratunku, siedmiu strażaków straciło wskutek gorąca i dymu przytomność, jeden brandmistrz doznał wskutek upadku ciężkich obrażeń.

Dzielni pompierzy uratowali i przenieśli w bezpieczne miejsce kasę firmy z zawartością kilku milionów lirów.

Cały Neapol jest pełen podziwu i uwielbienia dla straży ogniowej, z której słusznie dumnym być może.

Pomysłowy żebrak.

Po przedstawieniu w cyrku Cinisellego w Warszawie.

Tłum ludzi jak fala rozlewa się po Ordynackiej, Okólniku i Nowym Świecie. Na rogu Ordynackiej i Nowego Świata stoi człowiek wzbudzający ogólną litość. Kapelusz spadł mu z głowy i leży rondem do góry obok niego. Ma tylko jedną nogę, drugą zastępuje mu szczudło. Swoją łysiną i kalectwem wzbudza nieszczęśliwy człowiek ogólne współczucie. Niejedna piękność lituje się nad nim i szepce z westchnieniem:

— Ach! co za biedny kaleka!

Jakaś kobieta obdarta i źle ubrana, wyciąga chudy swój woreczek i mówi:

— Jestem wprawdzie sama biedną, ale ofiaruję z całego serca tą bagatelkę! — i rzuca mu do kapelusza 10 groszy.

Przykład zły, czy dobry — jest zaraźliwy. Panowie i panie stają przed żebrakiem i jałmużna płynie obfitym strumieniem w wytarty jego kapelusz.

Warszawiak jest miłosierny i hojny i nie lubi dochodzić, czy jałmużna jego dostaje się w ręce prawdziwie potrzebującego, czy też wydrwigrosza. Wtem odzywa się gwizdek. Kaleka-żebrak rzuca precz szczudło, zgarnia pieniądze do kieszeni, wdziewa kapelusz na głowę i z małpią szybkością znika w ciemnościach. Przechodnie, którzy właśnie sięgnęli do kieszeni, by udzielić mu wsparcia, patrzą za nim ze zdumieniem.

Co była za przyczyna tego szybkiego odwrotu?

W cieniu pewnej bramy stał na straży „cichy wspólnik“ nieszczęśliwca.

Z daleka ujrzał w ciemności sylwetkę zbliżającego się stójkowego.

Dlatego dał swemu „koledze“ znak ostrzegawczy. W trzeciorzędnej restauracyi spotykają się wszyscy troje, gdyż owa biedna, obdarta kobieta, która grosz wdowi ofiarowała żebrakowi — była jego kochanką. Po sprawiedliwym podziale, okazało się, że szef konsorcyum użebrał na tyle, że dla wszystkich troje wystarczy, by nazajutrz przepędzić dzień cały bez troski o chleb, a co ważniejsza — o wódkę!...

ALLOTRIA.

Korrekt.

A.: Dlaczego zawsze z naciskiem powtarzasz, że Ludwik jest twoim dalekim krewnym?

— Bo wyrzuciłem go z mojego domu!

Roztargniony profesor.

— Ach! mój drogi przyjacielu! Co za szczęście, że cię znowu widzę!... Cóż porabia pańska żona?

— Ja nie mam żony, panie profesorze!...

— Tak? A kiedyż biedaczka umarła?

— Ja wcale nie miałem żony, ja jestem kawalerem.

— Aha!... To pozwoli się pan zapytać, jak się mają dzieci?

Wydawca: Aleksander Ripper. Odpowiedzialny redaktor: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera w Krakowie.

Niniejszem podajemy spis najnowszych Numerów, traktujących między innymi artykułami także i o przygodach genialnego Króla detektywów.

Wyznawcy dyabła.
Pierścień Maryl.
Fałszywy generalissimus.
Dusiciel z Pragi.
Zbrodnicza drogueryа.
Katastrofa budowlana.
Mężczyzna pokojówką.
Trzynaście kul.
Rabuś dziewcząt.
Tajemnica pergaminu.
Miłosny szał króla złodziei.
Zagadkowy oblubieniec.
Tajemniczy szofer.
Podróż na północ.
Joly, pies policyjny.
Yoril, bandyta uliczny.
Niebezpieczny zakład.
Błędne ogniki.
Głodomor Ricardo Sacco.
Morderstwo w haremie.
Fabrykant dyamentów.
Tajemnica hrabiny Castellone.
Pamiętnik umarłej.
Zbudzona z letargu.
Doświadczenie rzeźbiarza.
Brylanty za pięć milionów.
Zwój włosów.
Demon z Stamford-Hill.
Tragedya zazdrości.

Co sobotę regularnie ukazuje się nowy numer naszego Tygodnika, opatrzony piękną, kolorową illustracyą.

Cena pojedynczego Nru 30 hal. = 15 kop. = 25 fen.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, ajencyach dzienników i trafikach, oraz wprost w Administracyi.

„SENZACYA“

Pod powyższym tytułem wychodzi w grudniu 1909 r. nowy, niezmiernie ciekawy tygodnik, poświęcony, jak sam tytuł wskazuje, niezwykłym, wstrząsającym i podziwu godnym zdarzeniom.

„Senzacya“ wychodzić będzie co tydzień w objętości 32 stron bitego druku. Każdy numer ozdobiony piękną, trójbarwną illustracyą.

„Senzacya“ rozpoczyna z pierwszym numerem cykl niezmiernie ciekawych przygód z życia sławnego króla włamywaczów, dżentelmena-bandyty, którego nazwisko brzmi:

LORD LISTER
ZWANY RAFFLES

Każdy numer zawiera dla siebie w dziale powieściowym **skończoną i odrębną całość.**

Cena pojedynczego Nru 30 hal. = 25 fen.

Prenumerata kwartalna 3 Kor. 60 hal. = Mk. 3·60.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, lub też wprost

w Administracyi „Senzacya“, Kraków, Zielona 7.

Wydawca: Aleksander Ripper. Odpowiedzialny redaktor: Tomasz Wróbel. Drukarnia A. Rippera w Krakowie